NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 11 lipca 1908. Nr. 28.

Gwałty hakatystów w Cieszynie.

(Treść na str. 2).



Gwałty hakatystów w Cieszynie.

(Do illustracyi tytułowej).

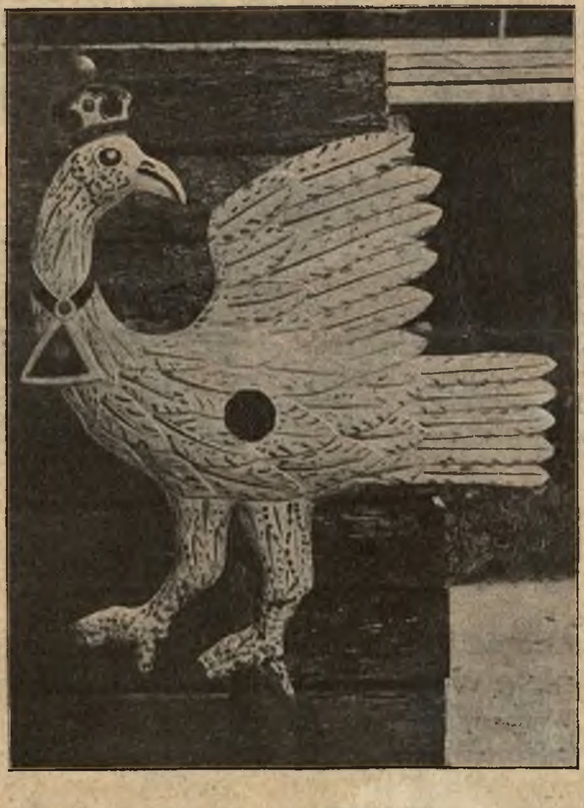
Stosunki narodowościowe na Śląsku, szczególnie w Cieszynie, przechodzą w stan prawdziwej anarchii. Prusofilskie żywioły, ośmielone protekcyą rządu i władz autonomicznych, dopuszczają się poprostu gwałtów na ludności polskiej, która od pewnego czasu nie jest tam pewną życia ni mienia. Wypadki, jakich widownią był Cieszyn w minioną niedzielę, są jaskrawą tego stanu illustracyą.

Okazyę do niesłychanego wprost gwałtu dał cieszyńskim hakatystom obchód poświęcenia sztandaru polskiej młodzieży rękodzielniczej, przy udziale gości nietylko z Cieszyna i Śląska ale i z Krakowa, a nawet z Królestwa Polskiego. W program obchodu wchodził też festyn na Grabinach. Gdy popołudniu ludność polska dążyła tłumnie ku Grabinom, prowadzona przez zastęp robotników ze sztandarem i orkiestrą na czele, otoczyli pochód Niemcy i sprowokowali bójkę, przyczem sporo osób po stronie polskiej odniosło rany. Niemcy ciskali ze wszystkich stron kamienie oraz petardy z cuchnącemi i palącemi materyami, co wywoływało niesłychaną panikę.

Policya przypatrywała się z najzupełniejszą obojętnością i cynizmem temu napadowi, nie uznając za stosowne ochronić Polaków przed tłuszczą zwyrodniałych hakatystów. I tylko dzięki taktowi przywódców i starszych osób wśród polskiej ludności zawdzięczyć należy, że rozlew krwi nie przybrał większych rozmiarów.

Krwawe zajścia w Cieszynie odbiły się echem w parlamancie, gdzie Koło polskie wniosło ostrą do rządu interpelacyę.

Lepszą jednak odpowiedzią i odwetem za napad hakatystów cieszyńskich jest uchwała wydziału gminnego w Dąbrowie, fabrycznej miejscowości na Śląsku, postanawiająca założenie polskiej szkoły wydziałowej w tej miejscowości. Będzie to pierwsza tego rodzaju szkoła na Śląsku. Mimo bowiem, iż ludność polska stanowi 60% ogółu mieszkańców Cieszyńskiego, nie posiadała ona dotychczas ani jednej polskiej szkoły wydziałowej. Długa walka zakończyła się zwycięstwem, a za przykładem Dąbrowy pójdą niewątpliwie i inne miejscowości.



Uroczystość strzelecka w Krakowie: Kur drewniany, który stanowił cel strzałów o godność królewską.

Rozwój polskości w Dąbrowie postępuje szybko, Istnieje tam cały szereg Towarzystw polskich, polska szkoła górnicza, polska szkoła ludowa a obecnie będzie i wydziałowa. Ten kulturalny rozwój zawdzięcza Dąbrowa całemu szeregowi osób, a przedewszystkiem gronu nauczycielskiemu szkoły polskiej i dyrektorowi Fryderykowi Kretschmanowi, który w wydziale gminnym posiada zaufanie i mir. Za jego to przeważnie staraniem Wydział uchwalił założenie szkoły polskiej wydziałowej.

To też Dąbrowa świeci dziś przykładem i staje się ośrodkiem ruchu polskiego na całe zagłębie ostrawsko-karwińskie i przoduje w walce z czechizacyą i germanizacyą.

Uroczystość strzelecka w Krakowie.

Z tradycyjną wspaniałością i przy zachowaniu uroczystego ceremoniału, odbyło się w ubiegłą niedzielę obwołanie nowego króla kurkowego w krakowskiem towarzystwie strzeleckiem. Godność ta przypadła na ten rok p. Józefowi Kuleszy, ponieważ strzał z jego ręki strącił ostatni szczątek drewnianego kura. Gdy wiadomość o tem została ogłoszoną, trębacze zagrali fanfarę, oznajmiając objęcie rządów przez nowego króla.

Następnie członkowie towarzystwa strzeleckiego w strojach uroczystych ustawili się we wspaniale udekoronowanej sali i tam powitali nowego króla, który wszedł w towarzystwie dwu marszałków, dr. Gubkiewicza i K. Czaplickiego.

Imieniem zebranych przemówił do króla prezes towarzystwa, poseł dr. W. Staniszewski, składając mu w gwarze z 16-go stulecia hołd i życzenie najpomyślniejszych rządów na „celsztacie" i wręczając godło królewskiej władzy, srebrnego kura, dar króla Zygmunta Augusta. Przypiął też nowemu królowi odznakę towarzystwa, złotego kura na zielono-białej wstędze. W dalszym ciągu wręczył



Uroczystość strzelecka w Krakowie: Grono członków tow. strzeleckiego z królem, marszałkiem i prezydyum w pośrodku.

marszałkom odznaki ich władzy, mianowicie marszałkowskie laski i przypiął do piersi srebrne kury.

Z kolei odbył się przy dźwiękach orkiestry pochód królewski po sali, deszcz ulewny bowiem u-



Uroczystość strzelecka w Krakowie: Król kurkowy p. Józef Kulesza.

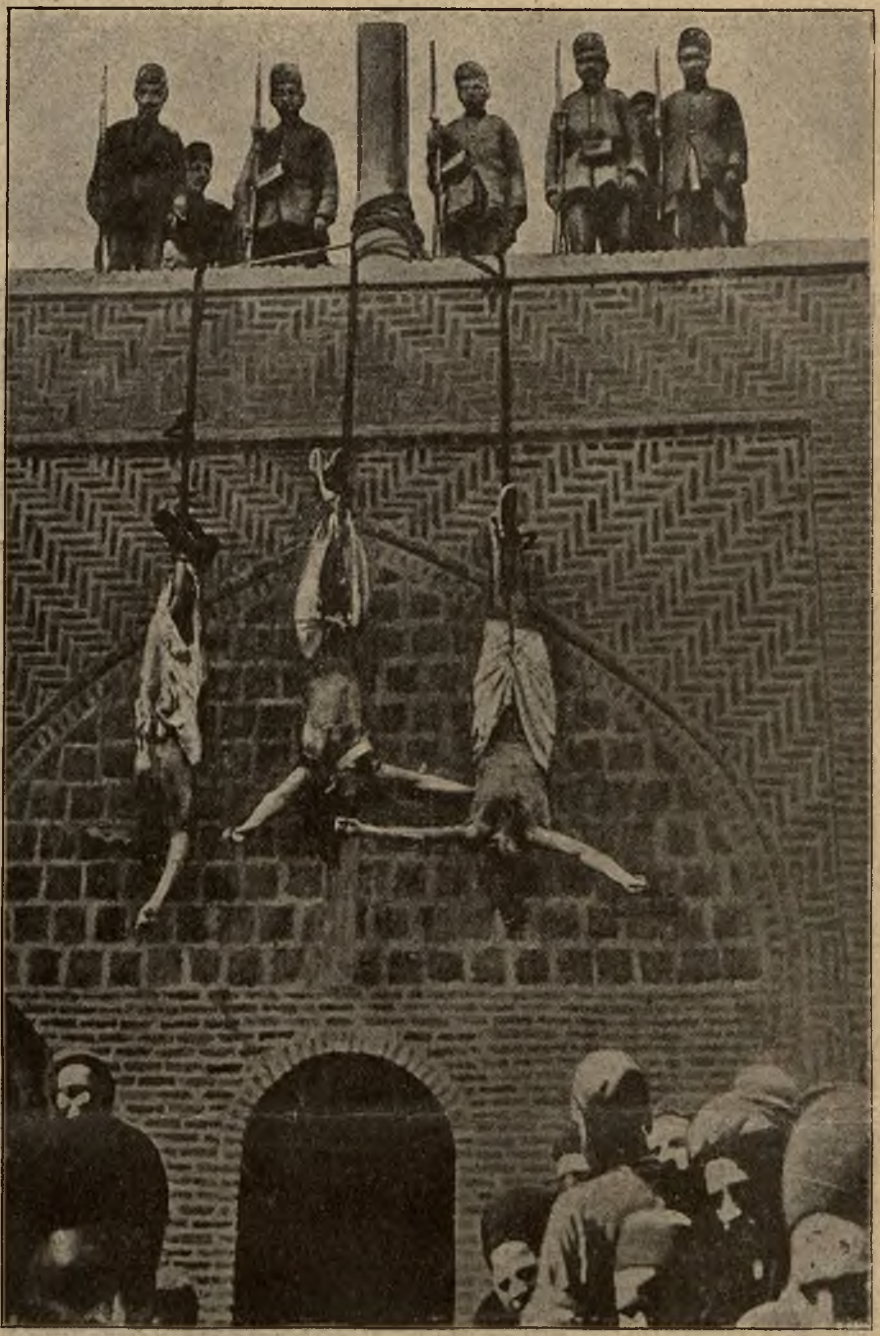
niemożliwił wyjście do ogrodu. Orszak pochodu był niezmiernie malowniczy. Otwierał go gospodarz towarzystwa p. Fenz, za nim szedł żak krakowski, niosący w otoczeniu grona strojnych młodzieńców godło towarzystwa, kura na drążku, dalej trębacz, chorąży w asystencyi halabardników i łuczników, tarczowy z ostatnim odłamem kura w ręku, marszałkowie. król z prezesem i wiceprezesem, skarbnik w otoczeniu trzech członków, niosących dary królewskie, wreszcie dawni królowie, dawni marszałkowie i grono członków towarzystwa. Cały pochód obszedł salę i odprowadził króla na tron w tym celu przygotowany.

Wspaniała, „królewska" uczta zakończyła uroroczysty w dziejach towarzystwa strzeleckiego dzień.

Rewolucya w Persyi.

Ostatnie wiadomości, jakie dochodzą do nas z kraju najnowszej rewolucyi, brzmią bardzo niepomyślnie dla ruchu wolnościowego narodu perskiego. Młody szach, krwiożerczy widocznie z usposobienia, a podżegany nieustannie przez otoczenie, które w utrzymaniu dawnego, przedkonstytucyjnego stanu rzeczy, widzi jedyne dla siebie zbawienie, postanowił zalać kraj potokami krwi i zatopić w niej wszystkich opornych poddanych.

Po zbombardowaniu gmachu parlamentarnego, rozpoczął się rabunek żołnierzy. Zaczęli oni szerzyć dzieło zniszczenia od dzielnicy, w której stał gmach parlamentu. Pałac wuja szacha, Zill es Saltaneh, przewódcy opozycyonistów, został doszczętnie złupiony, jak i znajdujące się w pobliżu domy mieszkalne, pomimo energicznej obrony mieszkańców. Niektórzy posłowie zdołali wymknąć się z gmachu parlamentu i wydostawszy się na dachy sąsiednich domów strzelali do wojska, w niektórych miejscach rzucano także i bomby na napadający oddział armii, wskutek też czego i wojsko poniosło znaczne straty, tak w rannych, jak i zabitych. W ogólnym rabunku nie oszczędzono i meczetów, które zostały odarte ze wszystkich kosztowności.



Rewolucya w Persyi: Egzekucya, wykonana w Teheranie na kilku rewolucyonistach.

Ogólny jednak wynik tych kilkudniowych walk był niekorzystny dla ludności, która poprostu została steroryzowana okrutnymi czynami swego władcy. Największy postrach na swych poddanych rzucił szach przez masowe aresztowania najwybitniejszych przeciwników, których potem skazywał bez sądu na najsroższe męki. Wśród uwięzionych znalazł się i brat cioteczny szacha, a syn wspomnianego wyżej Zill es Saltaneha. Ludność dla uchronienia od męki swych bliskich, złożyła broń i w ten sposób szach stał się panem położenia. O srogości kar, jakie spotykały uwięzionych, świadczy nasza rycina, przedstawiająca straszną śmierć skazańców przez powieszenie za nogi. Wisieć oni będą na widocznych miejscach w Teheranie tak długo, dopóki w strasznych konwulsyach nie zakończą życia. Jednocześnie wydał szach dwie odezwy do narodu, w których składając przysięgę na konstytucyę, zapewnia obywateli o miłości dla nich. Obecnie święci szach zwycięstwo, radość jednak mogłaby być zawczesną, kraj bowiem cały jest podminowany i może dojść wkrótce do jeszcze straszniejszych scen.

Wystawa psów we Lwowie.

Za wzorem zagranicy, urządzoną została w u biegłym tygodniu we Lwowie, na placu powystawowym, powyżej parku Stryjskiego, wystawa psów. Urządził ją galicyjski klub hodowli i tresury psów myśliwskich, przy współudziale bukowińskiego towarzystwa hodowli psów rasowych, a pod prote-



Rewolucya w Persyi: Pałac szacha w Teheranie.



Wystawa psów we Lwowie: Komitet i sąd konkursowy wystawy.



Wystawa psów we Lwowie: Komitet wystawy przed pałacem sztuki.

ktoratem hr. Andrzeja Lubomirskiego. Usilne starania komitetu wydały plon ze wszechmiar dodatni. Nadesłano bowiem na tę pierwszą psią wystawę przeszło sto okazów pierwszorzędnej jakości.

Przedstawicieli psiego rodu pomieszczono w dość prymitywnie pobudowanych, drewnianych klatkach, zajmujących trzy obszerne sale pałacu sztuki. A że pieskom nudzi się w zamknięciu, więc umilają sobie przymusowy pobyt gwałtownem ujadaniem i szczekaniem. Stąd hałas tam panował przez dwa dni trudny do wytrzymania, a jeszcze trudniejszy do opisania.

Gatunki nadesłanych psów są najrozmaitsze. Obok szlachetnych, smukłych chartów, tłuste, złośliwe buldogi; poważne Bernardy i Nowofundlandczyki obok małych, a ruchliwych foxterrierów, dalej poczciwe jamniki, legawce i inne psy myśliwskie, szkockie owczary, lub angielskie pointery. A że wszystkie odznaczają się bądź wspaniałością budowy, bądź jej oryginalnością, więc zadanie komitetu, mającego rozdać nagrody, było trudne.

Zainteresowanie tą niezwykłą wystawą było duże i ściągnęło na plac powystawowy sporo publiczności, mimo wysokich cen.

Przy sposobności tej wystawy, towarzystwo ochrony zwierząt rozłożyło na osobnym stoliku swe publikacye, firma Dzikowskiego we Lwowie znakomite wyroby broni myśliwskiej, znalazły się też inne „towary", jak pokarm dla psów z fabryki Faltingera.

Korpusy wakacyjne w Krakowie.

(Do illustracyi na str. 9).

Na dwa miesiące zamknęły się podwoje szkół krakowskich, ludowych i średnich. Nadszedł czas wakacyj, czas odpoczynku po całorocznej żmudnej pracy szkolnej. Więc młodzież krakowska wyjechała na świeże powietrze, zwłaszcza zamożniejsi, którym rodzice mogli dostarczyć środków na wyjazd i spędzenie wolnych od nauki chwil zdala od gwaru miejskiego. Znacznie jednak więcej młodzieży musiało pozostać w Krakowie, bo więcej jest uboższych niż zamożnych.

Aby i tym, którzy czas wakacyj zmuszeni są spędzić wśród skwarnych murów miejskich, umożliwić należyte wykorzystanie wolnego czasu, aby dać im sposobność odetchnięcia czystem, zdrowem powietrzem, stworzoną została w roku bieżącym instytucya korpusów wakacyjnych.

Inicyatywę po temu rzucił radca miejski prof. Domański i na cel korpusów uzyskał od sekcyi szkolnej 600 kor. subwencyi. A że szlachetną tę i pożyteczną myśl poparli dyrektorowie i nauczycielstwo szkół krakowskich, więc organizacya poszła w szybkiem tempie i w ubiegłym tygodniu korpusy wakacyjne rozpoczęły swoją działalność.

Zadanie ich jest bardzo proste: uprzyjemnić dziatwie krakowskiej czas wakacyi i zapoznać ją z przepiękną okolicą miasta. W tym celu zastępy korpusów maszerują dwa razy w tygodniu rano, przy odgłosie bębnów, za rogatki miejskie, kolejno w rozmaite strony i tam spędzają kilka godzin, używając do woli ruchu i swobody.

Każdy zastęp korpusów ma swój sztandar biało-czerwony, a wszyscy chłopcy noszą czapki z szarego płótna, w kształcie dawnych ułanek, oblamowane ciemno-niebieskiemi opaskami.

Już w pierwszych dniach istnienia korpusów, zapisało się do nich z górą 1000 chłopców, a w pierwszym dniu wymarszu, mimo niepewnej pogody, stawiło się na placu św. Ducha około 400 uczestników. Bawiący właśnie w Krakowie członek rady szkolnej krajowej ze Lwowa, radca Mieczysław Zaleski, był obecny przy wymarszu dziatwy i nie szczędził słów uznania organizatorom korpusów. Przybyło też grono dyrektorów szkół krakowskich i inspektor Dobrzański.



Wystawa psów we Lwowie: Jeden z najpiękniejszych okazów ze swym właścicielem.



Wystawa psów we Lwowie: Kilka wspaniałych okazów, nadesłanych na wystawę.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

4

Hrabia skłonił się grzecznie, kapitan zaś, zamiast ukłonu, uderzył nogą o nogę, żeby ostrogi należycie zabrzęczały, poczem wyciągnął do pana domu rękę prawą, z której już przedtem ściągnął białą, łosiową rękawiczkę. Wielohradzki, rad nie rad, uścisnął podaną rękę.

— Mnie eto oczeń pryjatno, co mogę sam oddać posługę panu grafu. Według zakona, powinien był tu przyjechać naczelnik straży ziemskiej... Ja, człowiek formalnyj, do niego karteczkę napisał i posłał przez policyanta, no on wyjechał na rewizyę po ujeździe... Da ponieważ Sielanka wasza jest jeszcze w rejonie miejskim... nu! niekoniecznie może, ale nam wolno zaliczyć ją do rejonu — mówił, uśmiechając się dwuznacznie. Więc pomyślałem sobie, jeśli nie po służbie, to po drużbie pojadę. I pojechałem. Bo my, graf, z waszym synom nie jedną noc tłukli się w naszego ruskiego sztosa, ili w francuskiego bakara... Charoszyj igrok z niego! sławnyj kartiożnik!

Wielohradzki powtórnie się ukłonił, wykrzywiając wargi słodko-kwaśnym uśmiechem.

Karol, który odgadł niepokój ojca, zaczął opowiadać na nowo.

— Otóż, jak już mówiłem, blisko rok upływa, jak wszyscy pobytowi złodzieje i wszelakiego rodzaju włóczęgi, wynosząc się na wieś z pod czujnego oka policyi warszawskiej, wpadają co noc prawie do naszego ogrodu, żeby kraść kwiaty i owoce...

— Da, da! — przytwierdził komisarz. Wspominał mi o tem mój drug, naczelnik straży ziemskiej. Wójt waszej gminy składał mu nawet raporty, a i strażnik takoż...

— Przyjechawszy dziś po północy z Warszawy, zdybaliśmy tu właśnie jednego z takich łotrzyków... zdaje mi się nawet, żeśmy go ciężko zranili. Leży pod murem ogrodowym... Jeśli pozwolisz panie komisarzu, pójdziemy go zobaczyć zaraz...

— Czemu nie?! — odparł kapitan. Do zakuski i do wina powrócim po obejrzeniu złaedieja.

Dwojegłazow powstał z krzesła i ruszył przodem w towarzystwie obu Wielohradzkich. Za nimi w pewnem poważnem oddaleniu wlókł się pisarz milczący; za pisarzem żandarm, który na dany mu znak przez komisarza, wysunął się z przedpokoju i dążył także w stronę muru, do którego prowadził ich Karol.

— Tu — rzekł młody człowiek — złodziej, gnany przezemnie z pod dworu, przez mur przeskoczył, lecz legł zaraz jak długi na piasku, nie mogąc podnieść się i biedz dalej.

To mówiąc, wszedł na ławkę i patrzał. Nagle drgnął całem ciałem i pobladł straszliwie.

Trupa nie było na drodze.

— Co wam się stało, Karł Mieczysławowicz?— spytał Dwojegłazow.

— Nic... nic... — bąkał Karol zmieszany.

Spojrzał na drogę powtórnie.

— Jednakże to tu... tu niezawodnie... Zresztą chciej panie komisarzu, rzucić okiem na ślady krwi pod murem...

— Nu, tak! zdaje się, że to krwawa posoka... Afanasij! — zawołał, zwracając się do żandarma — ty stary sołdat, znasz się na tem lepiej odemnie. Powiedz! Krew li to, ili niet?

Żandarm wstąpił na ławkę, a z niej, okraczywszy mur, zeskoczył na drogę. Przyjrzał się plamom uważnie, poczem wyprostowawszy się, odpowiedział:

— Toczno tak... krow wasze błagorodie.

Na szczęście dla aktorów nocnego dramatu nikt z obecnych nie patrzył w tej chwili na hrabiego, ani na jego syna, przestrach bowiem, malujący się na ich twarzach, mógł łatwo zdradzić obu. Bladzi jak płótno, szczękali zębami i trzęśli się, przejęci obawą.

— Czy wy seryozno pewni, że to tu on się rozłożył na ziemi jak długi? — pytał komisarz, ciągle jeszcze za mur wychylony i rozglądający się po drodze na prawo i lewo.

Karol przygryzł wargi i nie bez trudności wycedził:

— Tak, tutaj upadł... tu właśnie...

— Ale gdzieżeś Karł Mieczysławowicz dziobnął go szpadą, jak mi to opowiadałeś przed nadejściem grafa?

— Przy tarasie... Proszę pójść za mną, a pokażę.

I Karol powiódł kapitana Dwojegłazowa w stronę dworu.

Hrabia, wlokąc się tym razem za pisarzem i żandarmem, którzy na znak dany przez Dwojegłazowa, wyprzedzili go o kilka kroków, poruszał się jak automat. Myśl, że kochanek córki uniknął śmierci, przybiła go i zdruzgotała moralnie. Stracił głowę. Gdyby był sam, niezawodnie nie wyplątałby się z matni, w którą nie omieszkałby go prawdopodobnie uwikłać komisarz, o ile bowiem życzliwym był dla syna, o tyle nieprzychylnie odnosił się do ojca, którego uważał za zrujnowanego, a pysznego panka, imponującego mu polską dumą szlachecką.

Dwojegłazow bowiem, pomimo swej ściśle urzędowej służbistości, wyznawał zasady krańcowo liberalne, a każdego szlachcica chętnieby w łyżce wody utopił. Lecz nad bezpieczeństwem hrabiego czuwał Karol, który w jednej chwili odzyskał przytomność umysłu i władzę nad sobą. Ujawszy kapitana po przyjacielsku pod ramię, opowiadał mu w dalszym ciągu ułożoną przez siebie bajeczkę z zupełnym spokojem.

— Oto krzak róży, na którym łotr obcinał najpiękniejsze pączki... Patrz, kochany panie komisarzu, leżą jeszcze na murawie...

— Nu! da. A tu takoż leży jego kozik—rzekł komisarz, podnosząc z ziemi scyzoryk, wyjęty przez Karola z kieszeni Zygmunta. Na warszawskawo razbojnika za mały! To też mnie się widzi, że to nie był nożownik, ino ordynarny żulik... rzezimieszek, jak takich wasze „Kuryerki" nazywają.

— W pierwszej chwili chcieliśmy go tylko złapać na gorącym uczynku i przytrzymać. Dla postrachu uzbroiliśmy się w szpadę francuską i kordelas myśliwski, lecz gdyśmy się do niego zbliżali... on podniósł z ziemi pałkę, istną maczugę i rzucił się na nas... Rzucił się na nas pierwszy... Pomimo, że się fechtuję nieźle, nie zdołałem odparować ciosu, tylko uskoczyłem na bok...

— Dziwna rzecz, że nie miał przy sobie noża albo rewolweru... Przecież oni noszą zawsze takie szerokie i długie noże...

— Zaręczam ci panie kapitanie, że pałka w jego rękach była straszniejszą bronią od noża... Oto ona... właśnie tu leży...

Podniósł laskę, którą niedawno rzucił sam w kałużę krwi pod tarasem.

— Prawda! prawda! — rzekł komisarz — sławna pałka, skórzana, pełna ołowiu. Musiał ją komuś zwarować!

— Chociaż zastawiłem się szpadą, szedł na mnie prosto. Zdawało mi się, że zginę... Na szczęście nadbiegł ojciec...

To mówiąc, piorunującym wzrokiem przeszył Wielohradzkiego, który zapanowawszy nareszcie nad strachem, jął mówić:

— Syn mój zasłonił się szpadą, lada moment jednak mógł mu ją bandyta z rąk wytrącić i roztrzaskać głowę... więc pomimo wstrętu, jaki budziła we mnie myśl natarcia na człowieka z tyłu... przyczem czułem się mocno wzruszony... ręka mi drżała.. nie wiedząc kiedy i jak podniosłem w górę kordelas... i uderzyłem. Nic więcej nie pamiętam... nic więcej!

— Nu, graf, a kakimże obrazom człowiek w tem miejscu przebity, znalazł się aż tam.. za murem?

Karol nie pozwolił ojcu odpowiedzieć, zaczął bowiem sam mówić prędko, ale rozważnie, jakby sobie przypomniał teraz dopiero szczegóły nocnego zajścia.

— Zachwiał się naprzód... zdaje mi się nawet, że upadł, czy też przyklęknął... o tu, gdzie pan komisarz stoi... Mroczki jakieś latały mi w oczach, więc dobrze nie widziałem... Biłem się parę razy w życiu, lecz w żadnym z moich pojedynków nie doznałem takiego ściśnienia serca, takiego niepokoju... i powiem szczerze, takiej obawy, jak w tej zbójeckiej awanturze. Myślałem wprawdzie ciągle, że to, co czynimy jest legalną obroną... że bronimy własnego życia... a jednak widok tego człowieka, walącego się na ziemię wprawił mnie w stan okropnego rozdrażnienia... powiem szczerze... wzbudził we mnie żal prawdziwy... bo w tejże samej chwili, w której papa cios mu zadawał, i ja go przebiłem, wprost ze strachu, nie zdając sobie sprawy, co czynię... To też musiałem oprzeć się na szpadzie, żeby nie runąć na ziemię... Omdlewałem... Gdy odzyskałem przytomność, on już uciekał... Dopiero w parę sekund potem, zdołałem puścić się za nim w pogoń... ale go nie dogoniłem, bo przebiegł cały ogród, wdarł się na mur, a z muru spadł jakby piorunem rażony na miejsce, które panu komisarzowi przed chwilą pokazywałem. Co się z nim stało? Czy miał wspólników, którzy go unieśli? Czy może własnym ciężarem stoczył się po pochyłości do Wisły? Nie wiem i domyśleć się nawet nie mogę.

— Nu! my już domyślimy się po obejrzeniu śladów — odparł komisarz — a potem rozpytamy się służby dworskiej, czy ona czego nie wie!

W chwili, gdy gromadka zwracała się w dół parku, nadjechał doktór.

— Mnie każetsia — rzekł kapitan, witając znanego sobie lekarza — co wy trudiliś na prasno... nu! proszu odnakoż pójść z nami. Jedna para oczów więcej, zawsze się przyda.

Wszyscy przesunęli się w milczeniu przez całą szerokość parku, a gdy dotarli do ławki kamiennej, ogrodnik, który wraz z doktorem przyjechał, przystawił do muru jedną drabinę tuż przy ławce, drugą zaś przerzucił na stronę przeciwną, opierając jej podstawę na drodze do holowania berlinek i galarów.

Piękna, słoneczna pogoda wiosennego dnia ułatwiała badanie gruntu, na którym dostrzedz było można bez trudu wszelkie ślady dawniejsze i świeże. Komisarz postępował teraz pierwszy z oczami, wlepionemi w piasek.

— Nu! nic dla nas — mruknął niezadowolony. Nie ze dworu, ani z folwarku... ani ze wsi szli ci, co go z pod muru zabrali. Wskazał na miejsce, na które padło ciało Zygmunta, przez Karola rzucone. Tu leżał, niema co do tego żadnego wątpienia; jest ślad krwi na murze, a drugi większy na piasku... Niech gaspada tu poczekają, nie poruszając się wcale.

To mówiąc, zaczął kroczyć na przestrzeni jakich pięćdziesięciu kroków raz w lewo, to znowu w prawo, ciągle wzdłuż drogi i ciągle pochylony, wpatrujący się bacznie w piasek.

— Niczewo! — zawołał. Na trawkach, które gdzieniegdzie z pod kamieni wyrastają, błyszczy jeszcze nie obeschnięta rosa. Żadna z nich nieprzydeptana... a na drodze takoż śladów niema. Chyba stoczył się do Wisły i z prądem popłynął. Kapitan zbliżył się do rzeki. O! tu jest kapla krwi... tu druga!... a tu trzecia, nad samą wodą... da, ani jednego śladu ludzkiej stopy... Chyba, że trupa ciągnęli za nogi i ciałem jego zacierali ślady... nu! jednak po takiej operacyi pozostałby jaki choć mały znak, a niema żadnego... Czort wie, co myśleć! Ot tiażołaja zadacza!

— Możeby wsiąść do łódki i przekonać się, czy nie ugrzązł gdzie pod wodą?... — spytał hr. Karol.

— Dobra myśl — odparł komisarz i krzyknął na ogrodnika: Dawaj łodku!

Za chwilę kapitan, Karol i ogrodnik siedzieli w dworskiej łodzi. Karol wiosłował, a Dwojegłazow z ogrodnikiem, dwoma bosakami — dostarczonymi przez ostatniego — badali dno rzeki naprzeciw miejsca, na którem leżał domniemany złoczyńca.

Nie dostukawszy się niczego w mule i piasku nadbrzeżnym, skierowali łódkę na środek Wisły. Dopłynęli nawet do brzegu przeciwnego, nigdzie jednak ich bosaki nie potrafiły o coś, coby uważać można było za ciało topielca. Więc wodna wyprawa, równie jak lądowa, nie przyniosła pożądanego rezultatu.

* * *

Tymczasem Zofia, już od dość dawna ukryta w swoim pokoju za firanką, przypatrywała się przez okno z gorączkowem zajęciem niezwykłemu ruchowi, jaki panował w ogrodzie. Ma się rozumieć, z powodu znacznego oddalenia nie wszystko mogła widzieć i słyszeć, lecz to, czego nie widziała i nie słyszała starała się odgadnąć przeczuciem.

Zauważyła, że wszyscy spieszą nad rzekę. Tam więc kędyś leżeć musi trup ukochanego. Przypuszczała, że ci, co się tam udali, przyniosą go lada chwila. Jeśli przyniosą, to chyba nie odeślą zaraz do miasta, będzie więc mogła zejść, aby płakać i modlić się przy zwłokach. Ale w sercu jej tliła jeszcze jasna iskierka nadziei... Zygmunt padł raniony, lecz nie zabity... Rany jego, chociaż ciężkie, nie są może śmiertelne... Powierzyć go trzeba znakomitym lekarzom... Lekarze dzisiejsi leczą tak cudownie!

Gdy ujrzała wracającego z nad Wisły komisarza wraz z ojcem, Karolem, doktorem z Mokotowa, ogrodnikiem, pisarzem i żandarmem, wszystkich jakichś zmieszanych i zdziwionych... nadzieja jej wzrosła. Och! coby dała, żeby zejść i zapytać się, co się stało... Nie zejdzie jednak, żeby nie obrazić ojca. On tak czule ją pieścił, okazywał jej tyle przywiązania! Nie należy go rozdrażniać!...

Domyślała się prawdy... Tak ją sobie wyobrażała: z początku mniemano, że jej ukochany legł trupem... lecz po niejakimś czasie widocznie odzyskał zmysły... mógł uciec... uciekł daleko... daleko od tego przeklętego domu... uciekł, uciekł!...

— Co ci ludzie robią na dole? — zadała sobie pytanie. Czemu papa nie przychodzi? Traci czas na próżno, zamiast mnie pocieszyć i uspokoić...

Tuż pod swoim pokojem słyszała głosy, rozlegające się donośnie i tętniące głuchem echem w salonie... na parterze. Mówiono i mówiono... a ona czekała i czekała...

* * *

Komisarz przed podyktowaniem pisarzowi protokółu, badał domowników. Przesuwali się przed jego obliczem z kolei: Pogonowska, służba żeńska i męska, nawet chłopaki i dziewczęta wiejskie, godzone przez ogrodnika do pielenia grządek i gracowania ścieżek. Wszyscy zeznali, że od dość dawna jacyś złodzieje kradli kwiaty i owoce, a nawet sprzęty i narzędzia, pozostawiane niekiedy przez zapomnienie w ogrodzie. Poczem Dwojegłazow kazał wpisać do protokołu całe opowiadanie Karola, które kapitan sam ułożył i ustylizował w języku rosyjskim i w urzędowej formie. Stwierdzał w niem stanowczo, że tak syn, jak ojciec, napadnięci na należącem do nich terytoryum przez włóczęgę i zbója, znaleźli się w położeniu, domagającem się legalnej obrony, a broniąc własnego życia zabili złoczyńcę. Ciało zaś tego uniósł prawdopodobnie bystry prąd rzeki, należy zatem w jej nurtach przeprowadzić dalsze ścisłe poszukiwania, których obecnie dla braku środków pomocniczych i fachowych, uzdolnionych w tym kierunku poszukiwaczy-specyalistów, nie można było na razie dokonać.

W południe przedwstępne formalności zostały zupełnie wyczerpane, a komisarz, żegnany przez Karola bardzo serdecznie — wraz z pisarzem i żandarmem odjechali do Warszawy.

VI.

Ojciec i córka.

W zalanej promieniami słonecznemi sypialni klęczała Zofia, już nie płacząc, tylko modląc się gorąco, bo nadzieja, przepełniająca duszę dziewczęcia, obudziła wiarę w litość i miłosierdzie Boskie... Czyż zresztą mogła rozpaczać wobec życia, wdzierającego się tryumfalnie przez okno do jej pokoju; wobec życia, dyszącego całym czarem przyrody, wonią kwiatów, zapachem skoszonej trawy i słodyczą wiosennego powietrza, wysubtelnionego wśród gąszczu liści olbrzymich, starych lip, klonów i kasztanów.

— O nie, nie! Bóg nie pozwoli, aby zginął — myślała. Ale dlaczego papa się spóźnia? Czemu nie spieszy do mnie z radosną nowiną?

Nie śmiała jednak wyjść, pomimo dręczącej niecierpliwości. Wreszcie usłyszała kroki na schodach.

— To on! — szepnęła.

Otworzyła drzwi i wybiegła na kurytarz. Karol, który szedł z ojcem, zatrzymał się nagle, ujrzawszy ją przed sobą. Dreszcz obawy, podobny do tego, jakim uczuł się przejęty, gdy ujrzał martwego przeciwnika, broczącego krwią i rozciągniętego przy tarasie na żwirem wysypanej ścieżce, wstrząsnął jego ciałem.

Hrabia położył mu rękę na ramieniu. To dotknięcie, jakby iskra elektryczna, przebiegająca w mgnieniu oka po całym organiźmie młodzieńca, przywróciła mu przytomność. Udając szczere wzruszenie i serdeczną tkliwość, zbliżył się do siostry i ucałował ją kilkakrotnie. Poczem przemówił tonem głębokim i poważnym:

— Przebacz moja droga... Rozpacz mnie ogarnia, gdy pomyślę o gniewie i oburzeniu, którym dałem się unieść mimowoli... Przebacz mi kochana Zosiu!

Ona nie odpowiedziała ani słówka, jakby nagle zamieniona w bryłę lodu. Zdawało się jej, że posadzka pod nią się ugina i rozpada, a ona leci w jakąś bezdenną przepaść. Karol cofnął się i znikł siostrze z oczu, zbiegając szybko po schodach. Hrabia tymczasem ujął dziewczę za rękę i poprowadził w przeciwną stronę domu, do swego pokoju.

Zofia, nieświadomie uległa i posłuszna, postępowała przy nim, obłąkanemi patrząc nań oczami. Wielohradzki niemal przymusem posadził córkę w fotelu ogromnym, sam zaś siadł naprzeciw niej na drugim.

— Biedne dziecko moje, wszystko skończone... Ten, którego kochałaś...

Przerwał nagle. Czekał na jęk bolesny, albo na wybuch gwałtownego płaczu, tymczasem Zofia siedziała sztywna i nieruchoma, jakby nic nie słyszała. Więc chociaż zaniepokojony bardzo głosem, który ledwie przymusem wydobywał się z gardła, zaczął na nowo:

— Młody człowiek, którego kochałaś... nie żyje. Na wszelki wypadek... gdyby wynikły jakieś



Badali dno rzeki, w którem leżał domniemany złoczyńca.

nowe... nieprzewidziane przezemnie komplikacye... potrzebuję wiedzieć, jakie nosił nazwisko?

Zofia drgnęła całem ciałem, jakby targnięta atakiem nerwowym. Wargi jej wykrzywiły się konwulsyjnie.

— Jego nazwisko?... Słynniejsze jest i świetniejsze od naszego... Nie wymienię go jednak, dopóki nie powiesz mi, co zeznałeś przed policyą i jak się bronić zamierzasz wobec sprawiedliwości?...

— Czy ośmieliłabyś się może mnie... mnie obwinić? — odparł hrabia, unosząc się nagle gniewem.

Lecz wnet się uspokoił, rozumiał bowiem dobrze, że nie gniewem skłoni córkę do wyrzeczenia się miłości i poświęcenia własnej osoby.

— Uczyniłem to, co było obowiązkiem moim uczynić dla salwowania naszego honoru. Postarałem się nadto, aby dzienniki warszawskie nie pomieściły sprawozdań o tem, co się działo dzisiejszej nocy w dobrze znanej Warszawianom Sielance... Objaśnienia, jakie złożyłem policyi i złożę sądowi, są bardzo proste. W posiadłości mojej zastałem nieznanego mi człowieka, który wydał mi się podejrzanym i w czasach dzisiejszych niebezpiecznym. Zabiłem go... Na pytanie „co tu robił?...“ raport policyi z wyrozumiałością należną memu stanowisku, odpowiada: że był to złodziej, znany włóczęga...

— O mój ojcze!

— Czy wolałabyś, aby reputacya panny Wielohradzkiej uległa nie dającej się zmyć skazie?... Co zaś do ciała nieszczęśliwego młodzieńca, które prawdopodobnie wykradli życzliwi mu kamraci, policya oświadczy, że stoczyło się do Wisły, a bystry prąd rzeki je uniósł... Wobec prawdy, w taki sposób przedstawionej, pozostanie nam tylko... nam najbliższym, nam należącym do szczupłego kółeczka rodzinnego... żałosne wspomnienie smutnej, a niczem nie usprawiedliwionej słabości mojej córki... słabości, która okryłaby nas hańbą, gdybyśmy pozwolili ujawnić całą naszą rzeczywistość...

— Nie żyje!... nie żyje! — szepnęła Zofia głosem niknącym. Czy jesteś tego pewny mój ojcze?...

— Gdy padł na ziemię krwią zbroczony, gniew mój rozwiał się natychmiast. Żal ścisnął mi serce; chciałem go ratować, wydrzeć śmierci, otoczyć troskliwemi staraniami, pielęgnować... Niestety leżał martwy, tętna w skroniach bić przestały. Więc zanieśliśmy go na drogę za murem ogrodowym, żeby nie u nas znaleziono trupa... Chociaż komisarz sądzi, że popchnięty przypadkiem przez kogoś, spiesznie zdążającego do miasta wśród ciemności, stoczył się do Wisły, ja osobiście przekonany jestem, że go zabrali oczekujący nań w pobliżu przyjaciele... Otóż mniemam także, że równie oni, jak jego rodzina nie zechcą rozmazywać skandalu... Teraz pozostawiam ci zupełną swobodę wyjawić mi, albo nie wyjawić, jak się zwał młody człowiek, mniej może występny, niż lekkomyślny...

Zofia pogrążyła się w głębokiej zadumie. Nie, ona prawdy nie wyjawi! Gdyby wyjawiła... raporty władz, działających widocznie pod wpływem ojca i brata... unurzałyby niezawodnie w błocie kryminalnem nazwisko jej ukochanego... nazwisko, ozłocone starodawną sławą, opromienione osobistą zasługą... Zaczeka przynajmniej, rozważy, namyśli się...

Gęste łzy puściły się jej teraz z oczu i spływały cicho po bladych licach. Podobną była do posągu bólu i niewysłowionego cierpienia.

Hrabia także czas jakiś milczał, równie jak córka w myślach zatopiony. Niespodzianie powstał, przeszedł pokój wszerz i wzdłuż kilka razy, poczem zatrzymał się przed Zofią.

— Zosiu najdroższa! — zawołał — jestem zgubiony! Ty tylko... ty jedna możesz mnie ocalić od ruiny!

— Co mówisz papo? — spytało dziewczę, zapominając na chwilę o swoich cierpieniach, głos ojca bowiem wydał się jej przejęty jakimś niezwykłym niepokojem i szczerem wzruszeniem. Jesteś zgubiony... a ja mogę cię ocalić?

Wielohradzki objąwszy ją ramionami, podniósł z krzesła. Poczem przycisnął do piersi, ucałował kilkakrotnie, znowu na krześle posadził i zaczął mówić:

— Posłuchaj mnie dziecko ukochane!... Zwracam się do ciebie z ufnością, bo wiem, że na sercе twoje liczyć mogę. Uważaj pilnie na wszystko, co ci powiem... nie chcę bowiem nudzić cię i męczyć zbyt szczegółowem opowiadaniem. Nie wątpię, że zrozumiesz, w jak okropnem znajduję się położeniu... w położeniu niemal bez wyjścia... chociaż w rzeczy samej wina za nie nie całkiem na mnie spada...

Zamilkł na chwilę, zasłaniając twarz rękami. Milczał jednak nie długo.

— Zawsze byłem nieszczęśliwy — szepnął głosem, któremu bezgraniczny egoizm nadawał dźwięk szczerości i smutku. Jestem ofiarą ogólnego w kraju naszym stanu rzeczy, który w szczególności dotknął najsrożej nas, należących do arystokracyi, a poniekąd i całą szlachtę polską... Uwłaszczenie włościan doprowadziło nas wszystkich do ruiny...

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Wesele“ Wyspiańskiego w Ameryce.

Jak żywą jest łączność duchowa między Polonią w Ameryce a Ojczyzną, dowodzi fakt, iż grono przebywających stale w Nowym Jorku Polaków, urządziło niedawno amatorskie przedstawienie, na którem zapoznano rodaków z arcydziełem polskiej literatury dramatycznej, z „Weselem“ Wyspiańskiego.

Przedstawienie to zostało urządzone w jednej z nowojorskich sal teatralnych i zgromadziło bardzo liczny zastęp polskiej ludności. Doskonała gra amatorów, piękność utworu Wyspiańskiego, polskość, bijąca z każdego słowa „Wesela“, wywarły na zebranych ogromne wrażenie, to też oklaskiwali oni gorąco i serdecznie amatorów, w sztuce występujących i dziękowali im za chwilę tak miło spędzoną. A że znaczna część Polaków nie dostała już miejsca na pierwsze przedstawienie, komitet musiał je powtórzyć, przy równie licznym udziale publiczności.

Niemało zasłużył się około przedstawienia tego, reżyser kółka amatorskiego, Lwowianin Jan Adam Ważny, który od paru lat przebywa w Nowym Jorku i stara się usilnie zaznajomić rodaków z wszelkimi objawami kultury i sztuki polskiej.

Zdjęcie z przedstawienia „Wesela“ w Nowym Jorku, którego reprodukcyę dziś zamieszczamy, otrzymaliśmy dzięki uprzejmości dr. Gargasa, znanego ekonomisty i publicysty. Bawił on przez kilka tygodni w Ameryce, badając stosunki ekonomiczne wśród Polonii amerykańskiej i przed kilku dniami powrócił do kraju.



»Wesele« Wyspiańskiego w Ameryce: Scena z ostatniego aktu »Wesela«, wystawionego w Nowym Yorku.

Pierwsza wycieczka szkoły wydziałowej do Tatr.

Rozbudzenie i pielęgnowanie uczuć patryotycznych jest najszlachetniejszym celem, jaki szkoła ludowa ma do spełnienia. Cel ten osiąga się najskuteczniej przez zapoznanie młodzieży z pamiątkami naszej przeszłości narodowej, przez zwiedzanie starożytnych zamków, mieszczących w swych wiekowych murach tyle czarownych podań i baśni, przez poznanie najpiękniejszych krajobrazów naszej bogato pod tym względem uposażonej ojczyzny.

Nauczyciele szkoły wydziałowej im. Kazimierza Wielkiego w Krakowie, przejęci głęboko swem wzniosłem zadaniem, nie szczędzili pracy i trudów, by osiągnąć cel powyższy i dlatego w ubiegłym roku szkolnym urządzili cały szereg wycieczek szkolnych, z których najwspanialszą była wycieczka z uczniami klas wydziałowych do Tatr.

Odbyła się ona przed kilku dniami pod przewodnictwem nauczycieli tej szkoły pp.: Fiedlera, Robaka i Szkodnickiego, z tą myślą przewodnią, aby po całorocznej pracy w murach szkolnych, zaszczepić w duszy polskiej młodzieży gorącą miłość ojczyzny przez poznanie tego, co ona ma najpiękniejszego, a zarazem, aby już w młodych sercach obudzić zamiłowanie do poznawania ziemi ojczystej, które u nas w porównaniu z obcymi, jest tak małe.

Program trzydniowej wycieczki, bardzo urozmaicony i obszerny, został dokładnie wyczerpany przy pięknej pogodzie. Pierwszego dnia zwiedzili uczniowie Zakopane i muzeum Chałubińskiego. W drugim dniu wczesnym rankiem udała się młodzież furkami do Wodogrzmotów Mickiewicza, a stąd pieszo przez Roztokę do Wielkiej Siklawy, która dzięki wielkiej obfitości wody, wyglądała imponująco w otoczeniu śniegów. Punktem kulminacyjnym wycieczki było Morskie Oko, do którego dostała się młodzież przez Opalone i Świstówkę. Po zwiedzeniu Doliny 5-ciu stawów, obok Morskiego Oka poznali też uczniowie Czarny Staw, Mnicha i Rysy. Trzeciego dnia zwiedzili uczniowie Dolinę Kościeliską z wszystkiemi jej pięknemi osobliwościami.

Pełna najpiękniejszych wrażeń wróciła młodzież rannym pociągiem do Krakowa, opowiadając z entuzyazmem oczekującym na nią rodzicom o cudownych, czarownych Tatrach. Zdjęcia fotograficzne na tle Morskiego Oka, będą miłą pamiątką dla uczestników wycieczki. Zamieszczamy je w reprodukcyi w dzisiejszym numerze.



Pierwsza wycieczka szkoły wydziałowej do Tatr: Uczestnicy wycieczki wraz z profesorami, nad Morskiem Okiem.

Polak francuskim dyplomatą.

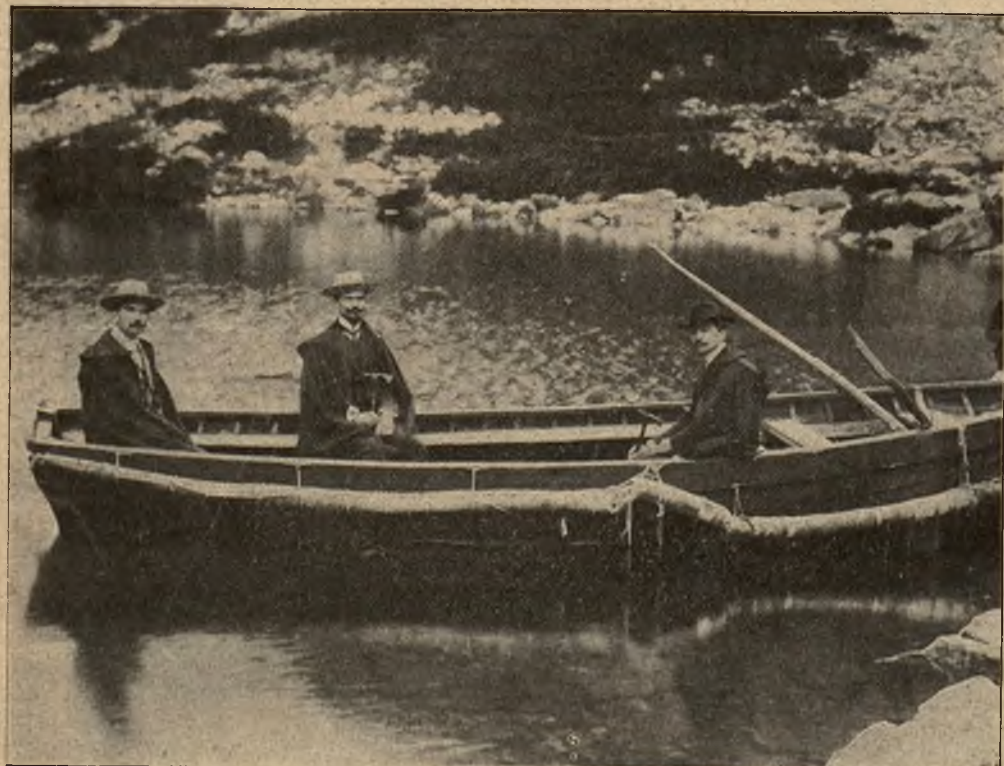
Za jednego z najlepszych znawców licznych kolonij francuskich, rozsianych po całym świecie, rząd francuski uważa zasłużonego swego dyplomatę, a rodaka naszego Antoniego Kłobukowskiego, który przed kilku dniami został mianowany generalnym gubernatorem Indo-Chin.

We francuskiej służbie dyplomatyczno-konsularnej zajmuje Kłobukowski wybitne, niejako wyjątkowe stanowisko, które zdobył sobie niezwykłemi zdolnościami i długoletnią pracą w najdalej na wschód wysuniętych posterunkach dyplomatycznych. Obecnie nikt w całym zarządzie

kolonii nie może mierzyć się z naszym rodakiem pod względem znajomości stosunków wschodnich narodów, zostających pod władzą lub protektoratem francuskim.

Antoni Kłobukowski, któremu dzienniki francuskie poświęcają dziś długie, pełne pochwał notatki, urodził się we Francyi, w Auxerie, 1855 roku z ojca emigranta polskiego, oficera wojsk polskich, następnie urzędnika prefektury departamentu Ionne. Po skończeniu szkół średnich i uniwersytetu paryskiego, pracował w służbie administracyjnej, gdzie dał się poznać ze swych zdolności i zacności charakteru. Powołany do Kochinchiny przez tamtejszego gubernatora, odznaczył się tam zaszczytnie i wnet potem został mianowany konsulem w Annamie i Tonkinie, a potem ze specyalną misyą był wysłany do Sjamu, skąd udał się jako główny sekretarz gubernatora do Indo-Chin. Lecz i tutaj nie pozostawał długo, wkrótce bowiem dostał nominacyę na konsula w Jokohamie, na ministra upełnomocnionego w Sjamie, dalej w Peru i ostatnio w Egipcie.

Obecnie p. Kłobukowski, ozdobiony krzyżem legii honorowej i kilkoma orderami zagranicznymi, wyjechał na swoje nowe zaszczytne stanowisko.



Pierwsza wycieczka szkoły wydziałowej w Tatry: Kierownicy wycieczki nad Morskie Oko.



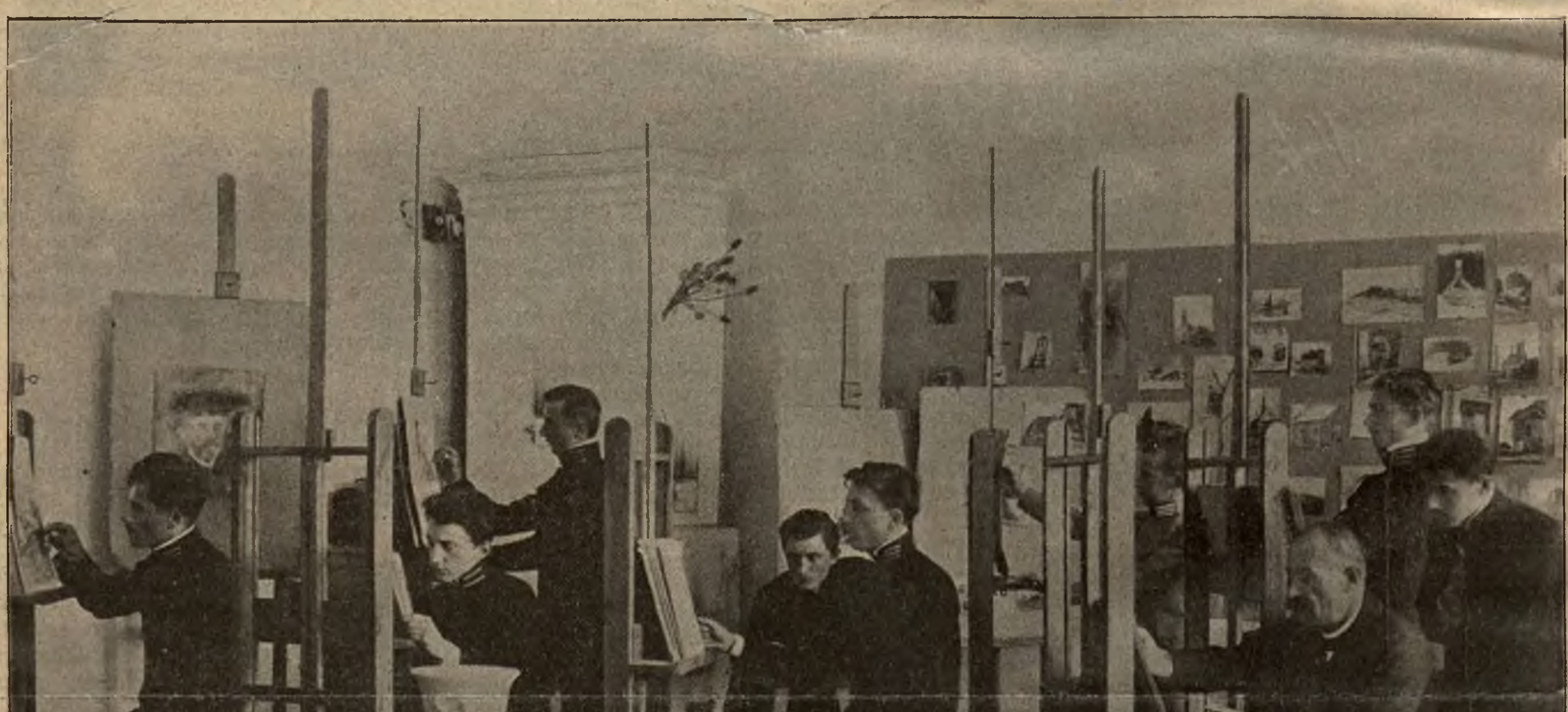
Polak francuskim dyplomatą: Antoni Kłobukowski.

Malarstwo w gimnazyum jasielskiem.

Na wskróś sympatyczny i kulturalnie wysoki objaw rozbudzania się wśród młodzieży szkolnej zamiłowania do sztuki, ilekrotnie się ujawni, ilekroć da znać o sobie szerszym warstwom naszego społeczeństwa, przynosi szczere zadowolenie i witany jest przez wszystkich dobrze myślących, z prawdziwą radością.

Sposobność do stwierdzenia takiego właśnie sympatycznego objawu dała wystawa akwarel i rysunków, prac uczniów gimnazyum w Jaśle.

Dzięki usilnym zabiegom i niestrudzonym staraniom dyrektora Józefa Słotwińskiego, dalej inspektora radcy szkolnego Stefanowicza, wreszcie prowadzącego naukę rysunków w gimnazyum, zaszczytnie znanego artysty-malarza Apolinarego Kotowicza, postęp w rozwoju tej gałęzi nauki wzmaga się z roku na rok.



Malarstwo w gimnazyum jasielskiem: Uczniowie wraz ze swym nauczycielem artystą malarzem Kotowiczem przy pracy.

Uczniowie gimnazyum jasielskiego, uczęszczający na naukę rysunków, przedmiot nadobowiązkowy wprawdzie, ale traktowany przez nauczyciela i kierownika gimnazyum szczerze i serdecznie, tłumnie się garną do pracy w tym kierunku. Nauka prowadzona jest w ten sposób, że pobierający ją uczniowie podzieleni są na trzy oddziały, a każdemu z nich poświęcone są dwie godziny



Szlachetny głos: Krystyna hr. Potocka, wdowa po zamordowanym Namiestniku.

w tygodniu. Lekcye odbywają się w zimie i w słotne dni reszty pór roku w przepięknej sali, znajdującej się w budynku filii gimnazyum, sali jasnej, dużej i świetlistej, bogato zaopatrzonej w meblowe rekwizyta, do odbywania nauki rysunków potrzebne. W lecie natomiast, na wiosnę i w piękne dni jesieni, uczniowie odbywają naukę na wolnem powietrzu, czyniąc pod przewodnictwem swego nauczyciela liczne wycieczki zarówno w mieście jak i jego uroczej okolicy, gorliwie chwytając i przenosząc na płótno i papier, ołówkiem, węglem, czy pędzlem, kształty i wrażenia przedmiotów z natury.

Wystawa prac uczniów przedstawiała się świetnie. U wejścia do sali wystawy, jak i w kilku oknach wystawowych w mieście widniały zapowiadające ją afisze, wykonane ze smakiem i artyzmem. Sala wystawy przedstawiała ściany gęsto a w artystycznym układzie dekorowane licznymi rysunkami i akwarelami, a nawet kilkoma obrazkami olejnymi. Przed okiem widza przewijały się w barwnej wstędze pejsaże i plastyczne studya. Wystawa dała prawdziwy obraz przebiegu pracy i jej wyników od pierwszych kroków uczniów, aż do prawdziwych dowodów zyskania umiejętności władania światłocieniem i kolorem. To też frekwencya zwiedzających wystawę, była bardzo znaczna.

Oby rezultat tej wystawy stał się zachętą dla szerszego poparcia tej gałęzi nauki naszej młodzieży we wszystkich wyższych zakładach naukowych w kraju.

Szlachetny głos.

Wyrok śmierci, jaki spadł we wtorkowym procesie na sprawcę strasznej tragedyi kwietniowej, wywarł wszędzie wielkie wrażenie. Ale jeszcze większe, jeszcze potężniejsze wrażenie wywarła wiadomość, iż wdowa po zamordowanym namiestniku, hr. Krystyna Potocka, wniosła do cesarza Franciszka Józefa prośbę o ułaskawienie zasądzonego mordercy.



Szlachetny głos: M. Siczyński, morderca Namiestnika i jego przyjaciel Ceglinski.



(Aparatem redakc. W. L.).

Korpusy wakacyjne w Krakowie: Dziatwa szkół krakowskich przed wyruszeniem na pierwszą wycieczkę.

Szlachetny ten czyn polskiej matrony jest tem bardziej podziwu godzien, iż okropny wypadek wydarł jej ukochanego męża w sile wieku, wówczas gdy uśmiechała się nadzieja długiego jeszcze i szczęśliwego życia u jego boku, w otoczeniu



Książe przed sądem: Obrońca ks. Eulenberga, adwokat Wronker.

dziatwy. Zbrodnia Siczyńskiego pozbawiła ją całej treści, najcenniejszej i najlepszej cząstki szczęścia. Co się wówczas musiało dziać w duszy i sercu biednej kobiety? Jaki ból straszny musiał przenikać całą jej istotę, na wspomnienie ostatnich a wielkodusznych słów dogorywającego męża: „Byłaś mojem szczęściem, moją radością, słońcem mojego życia!“

A przecież niezwykle szlachetna matrona umiała ból swój zamknąć w sobie i dziś chce ratować od śmierci tego, który jej życie całe złamał na zawsze. Umiała wznieść się tak wysoko, że nawet podziw wobec tak prostej a tak budującej ludzkości, nie znajduje dostatecznego wyrazu. Przed kobietą tą musi każdy skłonić głowę z najgłębszą czcią.

Prośba hr. Potockiej o ułaskawienie Siczyńskiego ma jeszcze inne, głębsze znaczenie. Jest ona równocześnie prośbą o pokój dla skołatanego ciągłemi walkami kraju. I gdy ta prośba zostanie spełnioną, spodziewać się należy, iż na jątrzącą ranę spłynie coś kojącego, coś orzeźwiającego niby balsam.



Książe przed sądem: Księżna Eulenburgowa z dwoma synami.

Książe przed sądem.

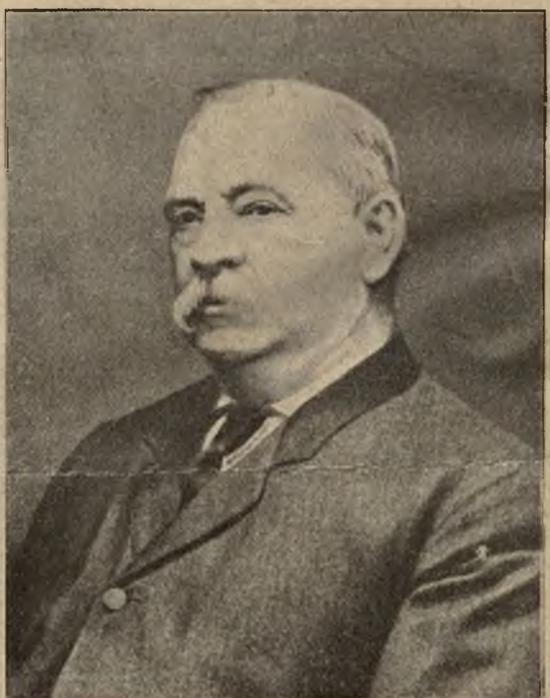
Sensacyjna historya wykroczeń przeciw moralności, historya zapoczątkowana procesem redaktora Hardena, nie schodzi z porządku dziennego. Nowy jej epizod stanowi proces przeciw ks. Eulenburgowi, oskarżonemu przez prokuratoryę państwa o krzywoprzysięstwo i namawianie do fałszywych zeznań. Epizod ten stanowi jakgdyby osobny dramat, znany pod nazwą „Eulenburgiady“.

Proces ten rozpoczął się w ubiegłym tygodniu przed sądem berlińskim, w gmachu Moabitu. Oskarżony, niedawno jeszcze najbardziej wpływowa osobistość w Niemczech, odznaczony orderem żelaznego krzyża za współudział w wojnie prusko-francuskiej, były ambasador Rzeszy w Wiedniu, magnat jeden z pierwszych w państwie, a przyjaciel osobisty cesarza Wilhelma II., dziś ruina fizyczna i moralna, mieszkaniec więzienia, a właściwie szpitala więziennego. Ze szpitala tego wiozą ks. Eulenburga codziennie pod eskortą policyi automobilem do gmachu sądowego.

Łatwo zrozumieć, iż proces ten obudził nietylko w całych Niemczech ale i daleko poza niemi wielkie zainteresowanie, mimo iż na żądanie prokuratora poparte przez obrońców, toczy się przy zamkniętych drzwiach, tak że nietylko nikt z publiczności, ale nawet żaden z przedstawicieli prasy nie został do niej dopuszczony. Mimo to garść szczegółów doszła do publicznej wiadomości.

Książe oskarżony siedzi w fotelu obronnym, w postawie nawpół leżącej, mając pod głową poduszkę, a na nogach pled. Przed nim na stoliku znajduje się syfon wody sodowej i proszki.

Rozprawy, które toczą się przed sędziami przysięgłymi, prowadzi dyrektor sądu Kanzow, oskarża prokurator Isenbiel, broni adwokat Wronker. Powołano kilkudziesięciu świadków, ze wszystkich sfer społecznych i zawodowych. Są tam lokaje, strzelcy przyboczni, rybacy, wieśniacy, wysocy wojskowi. Miało też świadczyć kilku arystokratów, ale nikt z nich się nie stawił.



Zgon b. prezesa Stanów Zjednoczonych: Grover Cleveland.

Duże wrażenie wywrzeć miały obciążające księcia Eulenburga zeznania dr. Bernsteina, obrońcy Hardena. Przesłuchanie jego trwało bardzo długo, mógł on bowiem podać bardzo wiele sensacyjnych i ważnych szczegółów.

Kiedy proces się skończy, trudno przewidzieć, zwłaszcza że materyał dowodowy, nagromadzony przez prokuratoryę, jest bardzo obszerny.



Książe przed sądem: Grono dziennikarzy przed gmachem sądowym Moabitu w Berlinie.

Pod groză śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

7 Ciąg dalszy.

— Tam do licha — począł się tenże usprawiedliwiać — ten pan pewnie wsiadł na poprzedniej stacyi Elstree, gdy ja lokowałem innych pasażerów. Teraz wsiada do tego samego przedziału, gdzie jedzie tamten dżentelmen. Przepraszam bardzo, ale to już nie moja wina.

— To bagatela — odparł książe. On uważał mnie za waryata, ja zaś jego za złodzieja. To może się zresztą każdemu przytrafić.

Po tem intermezzo pociąg ruszył w dalszą drogę. Beaumanoir powrócił na swoje dawne miejsce i snuł wątek swoich niewesołych myśli. Przedewszystkiem nasunęło mu się pytanie, jaki nowy plan, po udaremnieniu pierwotnego, powzięli Marker i jego towarzysz, który na poprzedniej stacyi w tak zręczny sposób zajął konduktora i umożliwił Markerowi wślizgnięcie się do wozu kolejowego.

Podczas następującego przystanku książe wyjrzał przez okno i ujrzał, czego się spodziewał. Z sąsiedniego wozu jakaś głowa patrzyła w jego kierunku.

— Pragnąłbym bardzo, ażeby już raz zakończyli rachunki ze mną, dłużej nie wytrzymam. W pociągu nic mi nie mogą zrobić, a gwałtem z wagonu mnie chyba nie wyciągną.

Gorączkową ciekawość i podniecenie nerwowe Beaumanoira przerwało nagłe wstrząśnienie wagonu i raptowne zatrzymanie pociągu. Książe padł na przeciwległe siedzenie. Ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, machinalnie podszedł ku oknu i zapytał konduktora o przyczynę zatrzymania pociągu.

— Ktoś szyny zatarasował — brzmiała odpowiedź.

Inni pasażerowie, nie mniej przestraszeni, otwierali gorączkowo drzwiczki wagonów, pytając konduktorów o rodzaj przeszkody. Beaumanoir dojrzał między innymi i Markera, który wysiadł również, rozmawiając żywo z owym panem, który kilka stacyj przedtem tak głośno żądał miejsca. O kilka kroków za nimi szedł służący, niosąc futerał i zarzutkę. Wkrótce wszyscy trzej znikli mu z oczu.

Książe rozglądał się naokoło. Miejsce katastrofy otaczały gęste lasy, ciągnące się, jak daleko można było okiem sięgnąć. Personal pociągowy przywołano do lokomotywy, a książe powolnym krokiem, bacznie nadsłuchując, szedł wzdłuż pociągu, ażeby poinformować się, ile czasu zajmie usunięcie przeszkody. Pokazano mu kilka belek i wielkich kamieni, które tworzyły barykadę wpoprzek toru. Maszyna, która natknęła się na nią, została tak bardzo uszkodzoną, iż nie mogła dalej jechać, wobec czego zatelegrafowano po ratunkowy pociąg. Na dalsze zaś pytania kilku podróżnych, którzy piechotą chcieli podążyć do najbliższej stacyi, odpowiedziano, iż odległość wynosi trzy mile.

Beaumanoir zrozumiał sytuacyę: to wykolejenie było dziełem jego prześladowców. Ciemności nocy i ogólne zamieszanie miały tym zbójom dać sposobność do uprzątnięcia wiarołomnego wspólnika. Miejsce było doskonale wybrane, minimalna chyżość pociągu wykluczała wszelkie niebezpieczeństwo dla innych pasażerów, a gęste lasy dawały możność wykonania zamierzonego skrytobójstwa. Marker miał być ciągle blisko księcia, ażeby w stosownej chwili przywołać swoich dwóch pomocników.

Niebezpieczeństwo było więc wielkie i książe nie wiedział co robić, zwłaszcza że strażnik kolejowy ogłosił pasażerom, że powiadomiono go telefonicznie, iż pociąg następny przyjedzie za półtorej godziny.

Czekać tak długo, w ciągłej trwodze i obawie, żeby podstępni wrogowie celnym strzałem z ukrycia nie powalili go na ziemię, przechodziło jego siły.

— A może uda mi się uciec — pomyślał książe i rzucił się w las, w kierunku Prior Tarrant, którą to drogę znał z częstych wycieczek.

Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, usłyszał lekkie gwizdnięcie i trzask suchych gałęzi. Prześladowcy odgadli jego plan i odcięli mu drogę do Prior Tarrant. Książe rzucił się czemprędzej z powrotem ku pociągowi i unikając świateł latarń pociągowych, chyłkiem dostał się na drugą stronę toru i ponownie ukrył w lesie. Przystanął na chwilę nadsłuchując, ale na razie nie zauważył nic podejrzanego.

XIII.

Na leśniczówce.

Książe szedł ciągle lasem, a cisza nocna, panująca wokoło, wpłynęła nieco kojąco na rozigrane jego nerwy. Do ucha jego nie dochodził żaden szmer, miał więc podstawę do przypuszczenia, iż i tym razem szczęśliwie udało się mu wymknąć z rąk oprawców.

Kroczył więc dalej spokojnie między drzewami, a wypatrując dalszej drogi, ujrzał w odległości kilku jardów maleńkie światełko. Odtwarzając w swej myśli okolicę, znaną mu dawniej, doszedł do wniosku, iż znajduje się w lasach, należących do Klaudyna Asprey, i że owo światełko pochodzi z leśniczówki, gdzie przed kilku laty, polując ze stryjem w tych stronach, odpoczywali przy myśliwskiem śniadaniu. W tej stronie ubił też pierwszego bażanta. Pragnąc co prędzej ujrzeć jakąś twarz ludzką, kierował się ciągle ku światłu i po kilku chwilach stanął przed chatą leśniczego. Zapukał do drzwi. Ujadania psów odezwały się wewnątrz. Jakiż mężczyzna rosły, mogący liczyć około 60 lat, otworzył drzwi i zdziwił się niepomiernie, ujrzawszy przed sobą o tak późnej porze człowieka, należącego jak mógł wnosić z ubrania, do lepszego towarzystwa.

Beaumanoir omal nie uściskał z radości starego leśniczego.

— Pan mnie nie poznaje, panie Mayne — zawołał — nie przypominasz sobie Karola Hanbury, który razem z księciem Beaumanoirem przed kilku laty tutaj polował?

— Pamiętam panie, pamiętam — odparł leśniczy. Ale prawda, przepraszam waszą wysokość, ba teraz pan jesteś księciem?

— Tak jest Mayne, jestem teraz księciem! Dziwisz się zapewne, widząc mnie w takiej sytuacyi. Jechałem koleją i niedaleko stąd pociąg wykoleił się, postanowiłem więc piechotą podążyć do Prior Tarrant, ażeby w lesie nie czekać na pociąg ratunkowy. Nie będąc pewnym, czy idę w należytym kierunku, przyszedłem tutaj, ażeby się zoryentować.

— Wasza wysokość raczy wejść do izby, proszę mi wyświadczyć ten zaszczyt. Ubiorę się i ośmielę księcia odprowadzić do zamku.

Beaumanoir serdecznie podziękował i wszedł do wielkiej izby, ozdobionej przeróżnemi trofeami myśliwskiemi. Mayne podał księciu szklankę piwa, przepraszając, iż na razie niczem innem ugościć go nie może, ale żona, nieco cierpiąca, dopiero co usnęła, a dzieci bawią poza domem.

Książe z rozkoszą wyciągnął się w prostym fotelu i rozmyślał, czy nie należałoby gospodarza wtajemniczyć w szczegóły swego położenia.

— Wasza wysokość wybaczy — przemówił leśniczy, że zauważę, iż opatrzność czuwa nad waszem życiem!

— Dlaczego? spytał zdumiony książe.

— Przecież przed dwoma czy trzema tygodniami, stryj i kuzyn waszej wysokości również podobny wypadek życiem przypłacili!

Beaumanoir zastanowił się chwilę nad trafnością tej uwagi i odrzekł:

— Prawdziwie udało mi się ujść cało, dzięki Bogu. Mój kochany panie Mayne, jeżeli ci to więc nie zrobi różnicy, pozwól mi wypocząć kilka godzin na tym wygodnym fotelu, nie czuję się na siłach iść dalej nocą do Prior Tarrant.

To ustronne schronisko zapewniało mu bezpieczeństwo przynajmniej do świtu, w dzień zaś prześladowcy chyba nie odważą się na nowy napad...

Mayne chciał zbudzić żonę, ażeby przygotowała łóżko, znajdujące się na piątarku w małym pokoiku, ale książe stanowczo oparł się, postanawiając noc przepędzić w krześle. Gospodarz ustępując woli dostojnego gościa, chciał odejść do swojej sypialni, gdy nagle ciszę nocną przerwało znowu szczekanie psa.

— Aha! stary Bloek ujada, ktoś zatem obcy musi być w pobliżu — rzekł leśniczy i wyszedł do sieni.

Beaumanoir już przedtem słyszał pod oknem przyciszone i nierówne kroki, z którymi zmieszał się po małej chwili chód, jakoby drugiej osoby. Wtem Mayne otworzył drzwi.

— Przepraszam bardzo, ale pociąg kolejowy niedaleko stąd wykoleił się — przemówił ktoś w sieni głosem, którego dźwięk Beaumanoir już gdzieś słyszał. Jestem bardzo znużony i zdenerwowany, więc szukam noclegu. Może pan mi go udzieli?

— Proszę wejść — rzekł leśniczy. Jednego gościa już mam.

Książe rzucił niecierpliwie okiem na wchodzącego i poznał go natychmiast. Na stacyi Elstree żądał ów gość przedziału pierwszej klasy, do którego wsiadł później Marker.

Przybyły nie zwracał bynajmniej uwagi na Beaumanoira i bez ceremonii zamierzał usiąść na fotelu, z którego książe właśnie powstał. Mayne zobaczył to i rzekł z oburzeniem:

— Przepraszam pana, ten fotel zajęty jest przez księcia Beaumanoir.

— Stokrotnie przepraszam — powiedział nowy gość, siadając na drugiem krześle. Jesteśmy towarzyszami niedoli, mości książe, bo o ile zrozumiałem dobrze, książe był także w owym fatalnym pociągu.

Książe nie był jednak usposobiony do rozmowy. Ten człowiek elegancki, którego cechowała wybitna wymowa amerykańska, był z całą pewnością nasłanym nań zbójem i nie był sam. Towarzysz jego czatował pewnie przed domem. Należało więc wytężyć całą uwagę, baczyć na każde poruszenie, na każdy ruch nieznajomego.

— Tak jest, byłem w tym pociągu — rzekł książe ociągając się — pan, o ile sobie przypominam wsiadłeś na stacyi Elstree... Później przysiadł się do pana na stacyi Radlest jakiś człowiek, który ukrył się pod ławkę w moim przedziale. Po wykolejeniu poszliście panowie razem w jedną stronę!...

Zagadnięty w ten sposób nieznajomy milczał zakłopotany, wreszcie przemówił:

— To dziwne, pod ławką?... Miejsce niezwykłe dla pasażera pierwszej klasy. Chyba książe nie przypuszcza, iż ja znam tego oryginała.

Beaumanoir zaprzestał jednak dalszych pytań. Był bowiem święcie przekonany, iż szpieg Marker i nieznajomy działają razem i w porozumieniu. Nieznajomy tymczasem wdał się w rozmowę z leśniczym, wypytując go nieznacznie o urządzenie noclegu.

— Teraz, gdy tu pan zajął ten pokój, wasza wysokość zechce przejść do pokoiku gościnnego — prosił leśniczy, idąc ku drzwiom. Pójdę przygotować łóżko!

Beaumanoir wstrzymał go.

— Chwilkę cierpliwości mój poczciwcze. Postanowiłem spędzić w tym pokoju tych kilka godzin, nie lubię zmieniać swoich projektów. Pokój gościnny niechaj służy temu panu.

Książe nie chciał bowiem dopuścić, ażeby leśniczy pozostawił go samego z nieznajomym. Jedna chwila mogła wystarczyć, ażeby ten rzucił się na niego i zadał mu śmiertelny cios. Leśniczy stanął więc bezradny, a nieznajomy chcąc ratować sytuacyę, podał księciu swoją kartę wizytową, dodając:

— Nigdy nie pozwolę, ażeby wasza wysokość przezemnie cierpiał niewygodę, proszę się więc mną zupełnie nie krępować.

Beaumanoir rzucił okiem na kartę i przeczytał:

„Pułkownik Anstruther Walcot
14 pułk dragonów gwardyi.“

Bilet ten potwierdził dowodnie przypuszczenia księcia. Pułkownik Anstruther Walcot był właśnie dawnym jego przełożonym i bawił obecnie w Indyach. Nie zdradzając się jednak ze swojem odkryciem, przemówił do leśniczego:

— A więc dobrze kochany Mayne. Ja przyszedłem pierwszy, więc z porządku rzeczy słusznie należą mi się pewne względy. Pójdę zatem do owego pokoiku i razem przygotujemy łóżko. Życzę panu szczęśliwej nocy i dziękuję za miłe ustępstwo.

Ukłonił się nieznajomemu, patrząc mu prosto w oczy. Ten obojętnie oddał ukłon i przystąpił do okna.

— Aha — pomyślał książe — pewnie to sygnał umówiony.

Leśniczy poprowadził księcia do pokoiku, położonego na piątarku. Okna były bez okiennic, drzwi słabe, nie miały zamku, nocleg więc wcale niebezpieczny, w dodatku w sąsiedztwie tego fałszywego pułkownika i będących niezawodnie w pobliżu jego adjutantów.

— Kochany Mayne — szepnął do ucha leśniczemu — ja w tej chwili muszę stąd pójść, ale tak, ażeby ten pan na dole tego nie zauważył — musisz mi koniecznie pomódz!...

— Ależ — wasza wysokość przecież... — zaprotestował leśniczy.

— Żadnych przedstawień — przerwał książe. W tej chwili nie mogę ci wszystkiego wytłómaczyć, powiem ci jednak tylko tyle, iż ten człowiek jest moim dawnym pułkownikiem. Nazywałem się wtedy Hanbury i dlatego mnie teraz nie poznał. Winienem mu większą sumę pieniędzy, a w tej chwili nie mogę oddać. Byłoby mi więc bardzo przykro, gdyby mnie poznał. Pojutrze pieniądze mu odeślę, ale teraz muszę za każdą cenę uciec stąd, w tajemnicy przed nim. Pójdę do Prior Tarrant piechotą. Pomóż mi, a będę ci nieskończenie wdzięczny.

Mayne nie mógł pojąć tego dziwnego zbiegu okoliczności. Książe, jeden z najbogatszych ludzi i chce uciekać w nocy przed dawnym przełożonym? Nie chciało mu się to pomieścić w jego pustej głowie. Wprawdzie przypomniał sobie, iż opowiadano w okolicy o hulaszczem i marnotrawnem życiu księcia w wojsku, ale czyż dlatego trzeba aż w nocy uciekać przed swym dawnym pułkownikiem?

— Jeżeli tak musi być to spróbójmy — otworzył okno i pokazał księciu przytykający dach małej szopy.

— Na ten dach można łatwo wleść z tego okna, a z tamtej strony leży siano, na które można bezpiecznie zeskoczyć. Jeśli wasza wysokość zejdzie bez hałasu, nikt ucieczki nie zauważy. Zresztą ja sam wskażę drogę i pójdę przodem aż do lasu.

— Nie mój Mayne — rzekł książe. Twoja obecność będzie tutaj pożyteczniejszą. Ja dam sobie sam radę. Ty zaś idź do izby na dole i powiedz pułkownikowi, że się już położyłem. Będzie to maleńkie kłamstwo, zupełnie jednak niewinne. A za trudy i kłopoty przyjmij odemnie ten bilet pięciofuntowy. Proszę cię jeszcze mój Mayne, zabawiaj pułkownika, jak długo możesz, przynajmniej z jakie pół godziny. A teraz dobranoc mój poczciwcze!

— Aha, jeszcze jedno! Jutro rano, jeżeli pułkownik zauważy moją nieobecność, proszę mu powiedzieć, że wkrótce „zapłacę mu wszystko, com mu winien".

— Według rozkazu waszej wysokości, wszystko wypełnię!

Beaumanoir nie tracąc czasu szybko dostał się na dach, stamtąd na siano i na ziemię. Pospiesznym krokiem uchodził w stronę lasu, tam bowiem był bezpieczniejszym, aniżeli koło leśniczówki, koło której bezwątpienia był ukryty wspólnik pułkownika. Szczęśliwie dotarł do lasu, gdzie po niedługiej chwili trafił na ścieżkę, która doprowadziła go do drogowskazu. Przy świetle zapałki wyczytał na słupie, iż ta droga prowadzi do Prior Tarrant.

Poczekawszy jeszcze kilka chwil i nie widząc nic podejrzanego, podążył w dalszą drogę, nie oglądając się zupełnie poza siebie. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy wchodząc do parku, mimowolnie odwrócił się i ujrzał tuż za sobą skradającą się ciemną postać. Rzucił się ku tarasie i tu poznany i powitany przez jenerała i Forsytha prawie nieprzytomny padł na krzesło, które podał mu Arimoolah.

Wysłany przez jenerała towarzyszył on księciu od drogowskazu aż do zamku, cicho, niby anioł stróż.

XIV.

Za wiele kobiet.

Forsyth, jenerał i książe weszli do obszernej komnaty, gdzie przy drzwiach stał wyprostowany Arimoolah. Książe wskazując nań, przemówił:

— Niewymownie wam jestem wdzięczny, żeście tego dyabła za mną posłali. Spisał się gracko, a największą zasługą jego w moich oczach jest, iż w sposób dyskretny, a niewidzialny strzegł moich kroków.

— Teraz wasza wysokość — przemówił jenerał — pójdzie zapewne spać. Za spokojną noc ja ręczę. Wypoczynek jest potrzebny, bo trzeba pamiętać, iż jutro przybywają damy.

— Kochany jenerale, z chęcią poddaję się twoim rozkazom — rzekł z uśmiechem Beaumanoir. Jeszcze tylko kilka dni, moi przyjaciele, strzeżcie mojego życia, później zostawię was już w spokoju...

Po tych słowach książe powstał i utykając mocno, udał się do sypialni. Jenerał dał Forsythowi znak, ażeby odprowadził widocznie już z sił upadającego księcia.

— Biedny człowiek, jest już zupełnie wyczerpany. Prześpij się — szepnął jenerał Forsythowi na odchodnem — w jego pokoju na kanapie i nie przerywaj mu snu. Arimoolah i ja będziemy czuwać. Księcia nie można pozostawić samego w pokoju!

Po odejściu Forsytha jenerał zwrócił się do Arimoolaha i wielce zadowolony, rzekł:

— Sprawiłeś się doskonale, pracujesz jak za dawnych dni. Lecz na tem nie koniec. Przez noc musisz bacznie czuwać wokoło zamku, a gdybyś dostrzegł cośkolwiek podejrzanego, daj mi znać



Beaumanoir szybko zsunął się na dach....

bez zwłoki. Ja pozostanę tutaj, aż do białego rana.

— Pochwały Sahiba są dla mnie słodsze, aniżeli miód Kaszmiru — odpowiedział Arimoolah i skłoniwszy się wyszedł do parku, gubiąc się w cieniach drzew.

Jenerał zamknął za nim drzwi na klucz, opatrzył okna i wyciągnął się wygodnie na kanapie, ażeby cokolwiek wypocząć.

Noc przeszła spokojnie. Rano wszyscy trzej zeszli się przy kawie, ale z powodu obecności służby, ani słowem nie poruszali wydarzeń dnia minionego. Beaumanoir przeglądał przyniesione listy i pokazując swoim przyjaciołom jeden z nich, ozdobiony pompatycznym monogramem, rzekł:

— List od pani Talmage Eglinton. Przyjmuje zaproszenie, jutro rano tu przyjedzie. Pisze wcale dobrym stylem, jak na Amerykankę. Hm! myślę, że nie będzie wtem nic niestosownego, jeżeli ona zamieszka tutaj razem z Sybillą i naszemi damami. Zresztą stało się wszystko według rozporządzenia jenerała, on więc będzie za wszystkie skutki odpowiadał.

Jenerał skinął głową i opuścił wkrótce swoich przyjaciół, ażeby w samotnych alejach parku zastanowić się nad dalszymi planami. Uwaga księcia była trafną. Zaproszenie Talmage Eglinton równocześnie z Sybillą było dziwnym manewrem wobec faktu, iż obydwie te kobiety były rywalkami o miłość Forsytha.

— Rękę sobie odrąbię — mruczał jenerał — jeśli z tego powodu spotka Sybillę jaka nieprzyjemność.

Książe czyniąc swoją uwagę i podnosząc wątpliwości co do stosowności równoczesnego pobytu wszystkich czterech kobiet pod jednym dachem, złożył tem samem najlepszy dowód, iż nie stoi w żadnych stosunkach z panią Talmage Eglinton i jej wspólnikami.

— Kto wie — rozmyślał dalej — może istnieją dwie bandy, czyhające na miliony Shermana. Beaumanoir i Ziegler z jednej strony, a z drugiej szachująca ich pani Eglinton. Klucz do tajemnicy posiada książe, wszystkie siły muszę wytężyć, ażeby złamać jego uparte milczenie.

* * *

Strona przeciwna nie dawała żadnego znaku życia, całe przedpołudnie przeszło w niezamąconym spokoju. Arimoolah nie pokazał się ani razu, widocznie nic podejrzanego nie zwróciło jego uwagi. Popołudniu przybyły na herbatę wszystkie cztery damy. Beaumanoir przyjął je serdecznie, zeszedłszy na tarasę zamkową. Pani Sadgrove uścisnąwszy męża, szepnęła mu nieznacznie, iż ma dla niego ważną wiadomość.

Podczas gdy Beaumanoir czynił honory domu Leonii i jej matce, a Forsyth flirtował z Sybillą, jenerał pozostał z żoną na uboczu.

— Jem — powiedziała jenerałowa — otrzymałam dziś rano list anonimowy. Przeczytaj go, nie jest długi.

List zawierał tylko te kilka słów: „Niebezpieczeństwo ze strony Zieglera".

Wprawdzie jenerał nie był znawcą kaligrafii, mimo to jednak zaraz na pierwszy rzut oka poznał, że słowa te nakreśliła ręka kobieca pismem, które starano się zmienić. Przyglądając się dalej tajemniczemu listowi i obracając go w ręce na wszystkie strony, jenerał zauważył, iż papier ten wydaje woń taką samą, jak list okazany rano przez księcia, a pochodzący od pani Talmage Eglinton. Oba listy były skropione tą samą silną perfumą.

— Nie masz ty przypadkiem pojęcia — spytał żony — od kogo to pismo może pochodzić?

— Zapach perfumy jest mi jakiś znany, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd — odpowiedziała jenerałowa.

Jenerał spojrzał żonie w oczy, a wyraz ich mówił mu, iż sama nie wierzy w prawdę swoich słów.

— Bądź spokojną Madge — rzekł lakonicznie — wszystko idzie w porządku.

Niestety, słowa te nie odpowiadały myślom jenerała. Jeśli ten list pochodził z ręki pani Eglinton, w takim razie wszystkie jego przypuszczenia okazują się fałszywemi. Przecież pani Eglinton, która według jego kombinacyj jest duszą tej całej sprawy, nie będzie ostrzegać przed Zieglerem? Z drugiej zaś strony, gdyby nie była wmieszana w tę sprawę, to zachodzi pytanie, w jaki sposób doszła do wiadomości o niebezpieczeństwie, grożącem ze strony Zieglera i dlaczego posługuje się anonimem?

— Ta kobieta widocznie chce odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie — mruczał jenerał. Chce pozyskać zaufanie nietylko księcia, ale i nas wszystkich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gwałty hakatystów w Cieszynie.

W uzupełnieniu artykułu wstępnego o napadzie hakatystów cieszyńskich na tamtejszą ludność polską oraz wzmianki o utworzeniu pierwszej pol-



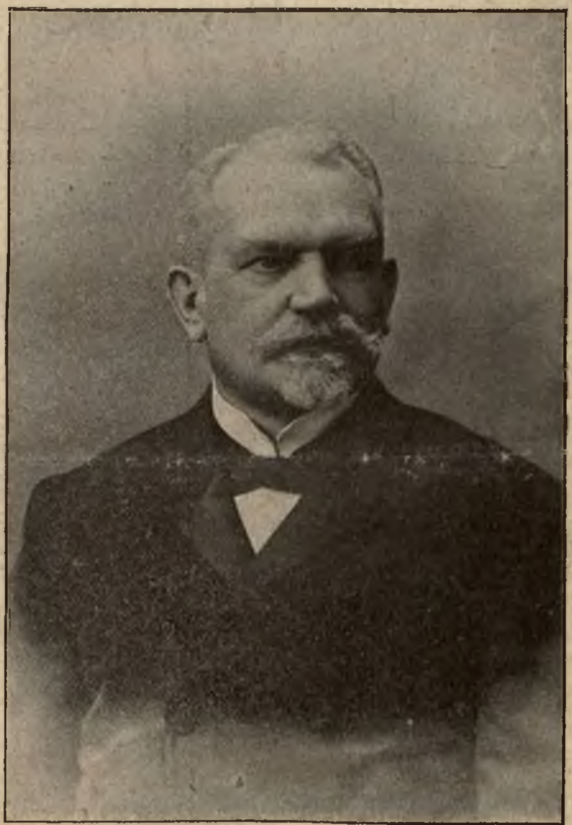
Gwałty hakatystów w Cieszynie: Poseł ks. Józef Londzin.

skiej szkoły wydziałowej w Dąbrowie, zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy zasłużonych około pielęgnowania uczuć narodowych wśród śląskich Polaków nauczycieli z Dąbrowy wraz z dyrektorem Kretschmanem, oraz portrety posła ks. Londzina i dwu prowodyrów cieszyńskich hakatystów, b. burmistrza i posła Demmla oraz obecnego burmistrza dr. Bukowskiego. Te trzy osobistości bowiem odgrywają w historyi walki narodowościowej niemiecko-polskiej główną rolę.



Gwałty hakatystów w Cieszynie: Grono nauczycielstwa polskiego w Dąbrowie na Śląsku, z dyrektorem Kretschmanem (X).

Ks. Londzin, zasłużony kapłan i redaktor, od szeregu lat prowadzi skuteczną bardzo działalność narodową w Cieszynie i całym Śląsku, a jako poseł walczy w parlamencie z energią w obronie praw polskości, gnębionej przez wpływowe sfery urzędowe, które popierają bez zastrzeżeń Niemców. Z tego powodu naraził sobie nietylko całą hakatystycznie usposobioną ludność niemiecką Śląska, ale i wybitnych wśród niej działaczy, w szczególności Demla i dr. Bukowskiego.



Gwałty hakatystów w Cieszynie: Burmistrz Cieszyna dr. Rudolf Bukowski.

Pożar w Borysławiu.

„Ziemię obiecaną“ Galicyi, Borysław i okolicę, nawiedziła w ostatnią sobotę straszna katastrofa, która cudem tylko nie przybrała groźniejszych rozmiarów i nie zamieniła krainy bogactw i skarbów w kraj nędzy. Już od kilkunastu dni, gdy w galicyjskim przemyśle naftowym nastąpiło przesilenie z powodu nieznanej wprost w historyi nafciarstwa hiperprodukcyi ropy, wywołanej niesłychanem bogactwem szybu „Oil City“, podnosiły się głosy, które wskazywały na opłakane warunki eksploatacyi nafty w Borysławiu i na brak odpowiedniej organizacyi nafciarskiej w naszym kraju, a równocześnie zwracały uwagę na grożące w tych warunkach niebezpieczeństwo pożaru, którego rozmiary i następstwa trudnoby nawet przewidzieć.

Prawdziwość i słuszność tych ostrzeżeń prędko się ziściła. Bo oto w sobotę popołudniu, w czasie szalonej burzy, uderzył piorun w szyb „Oil City“, w owego kolosa, wyrzucającego dziennie trzy miliony litrów ropy i zapalił go, powodując w następstwie pożar kilku innych szybów i zbiorników ropy.

Rozpętały się żywioły, a morze płomieni objęło ogromną, kilometrową przestrzeń, szerząc przerażenie i panikę w ca-



Pożar w Borysławiu: Palący się szyb »Oil City«, otoczony płomieniami i kłębami dymu.



Gwałty hakatystów w Cieszynie: Leonard Demel.

łej okolicy. Straszliwy, grozą budzący a jednak i piękny w swoim rodzaju był widok orgii niszczącego żywiołu. Płomienie, tworzące wysokie słupy ognia, waliły z siłą i hukiem w górę, zalewając wszystko olbrzymimi kłębami dymu. Trudno było na razie ocenić rozmiary katastrofy, trudno było stwierdzić, co zniszczało, a co znajduje się jeszcze w niebezpieczeństwie.

Przez dwanaście godzin wisiało nad Borysławiem a pośrednio nad krajem całym widmo niebywałej, w dziesiątki milionów idącej szkody, bo dopiero w nocy udało się pożar zlokalizować przy pomocy kilku straży pożarnych i oddziału pionierów z Przemyśla.

Dzięki temu spaliło się w pierwszym dniu około 600 wagonów ropy, a zagrożonych było ogółem najwyżej 1000 wagonów, co wobec tegorocznej produkcyi 200.000 wagonów, jest małoznacznem i na przemyśle naftowym wcale się nie odbije. Dotkliwsze są szkody w narzędziach i urządzeniach szybów, bo te idą w dziesiątki tysięcy koron.

Z życia dnia

(Nasi najserdeczniejsi. — Książka pruska o Polsce. — Brednie wiedeńskie o Rusinach. — »Schreibjüngełesy«. — Taenzeles i Menkes. — Pożar w Borysławiu. — Moja lektura na bruku. — Wycieczka dla benzyny. — Wyludnienie się Krakowa).

Nasi najserdeczniejsi za przykładem mistrza swojego Bismarcka, zajmują się nieustannie sprawą polską, twierdząc równocześnie, że jej właściwie niema, że Polskę dawno już starto z oblicza ziemi. Na tych grabieżcach cudzego mienia, a nawet imienia — gdyż *Borussia* niema nic wspólnego z niemieckością — wiecznie czapka gore. Wracają ciągle do nas, jak powraca morderca do swojej ofiary, wiedziony niewytłomaczoną siłą jakąś. W książkach, broszurach, artykułach, na trybunie parlamentarnej i na zgromadzeniach przeróżnych zajmują się nami wszyscy Prusacy, począwszy od cesarza i kanclerza, a skończywszy na wachmistrzu policyi i babinach, zgromadzonych przy owej kawie pruskiej, która jest mdła i cienka, jak poezye Wildenbrucha, a nazywa się ona „Klatschkaffé“.

I oto wyszło teraz w Lipsku „dzieło“, zakrojone na większe rozmiary i noszące tytuł „*Die Zukunft Polens*“, to znaczy „Przyszłość Polski“. Autorem jest niejaki pan George Cleinow — nie wiadomo, czy to ma być nazwisko, czy pseudonim. Mniejsza o to. Pojawił się dopiero tom pierwszy pod tytułem „Gospodarstwo“, dalsze zaś pojawią się później. Jak widzimy, wydawnictwo poważne, przynajmniej rozmiarami. Autor zajmuje się w tej pracy Królestwem Polskiem i sprawą polską w odniesieniu do Rosyi, no i oczywiście sympatye swoje składa u stóp Rosyi, ale wszystko to czyni „*pour le roi de Prusse*“, na korzyść krzyżactwa, które się Rosyi narzuca na kata polskości. A dalej, stwierdzając wbrew swej woli, że Polska mimo podziałów jest nierozdzielna, zajmuje się pan Cleinow także zaborem pruskim i austryackim, oczywiście znowu w interesie Prus i tych, którzy w Prusiech tę robotę zamówili. Bo, że to jest robota zamówiona przez Berlin, nie ulega wątpliwości. Zaczekajmy tylko, a rychło może dowiemy się, jaką nagrodę ze strony pruskiej otrzymał pan Cleinow.

Prusacy narzucili się też, jak wiadomo, Rusinom na opiekunów i obrońców, ażeby w ten sposób wieść walkę podjazdową przeciwko nam. Do tej walki podjazdowej służą przedewszystkiem przeróżne "schreibjüngełesy", rezydujące w Wiedniu, a dostarczające pismom pruskim artykułów o gnębieniu Rusinów przez Polaków w Galicyi. Autorowie tych artykułów kłamią z całą świadomością i czelnością, licząc na ignorancyę zagranicy w tej sprawie.

W taki sposób powstał artykuł pod tytułem: „Rusini“, napisany przez niejakiego Hermana Menkesa w Wiedniu, a ogłoszony w dzienniku „Berliner Tageblatt“. Stek głupstw, dla których można mieć tylko uśmiech pogardy. Wszak Herman Menkes, wyliczywszy wszystkie krzywdy, spadające na Rusinów z przyczyny Polaków, powiada naostatek, że Rusin w Galicyi żywi się chlebem... z sieczki i odpadków. Oj jej! — „*wanen könnt mer*“ — jak powiada pewna piosnka wiedeńska. Rusini sieczką nie żywią się, choćby dlatego, że ta sieczka... znalazła już miejsce w głowie zacnego pana Menkesa. A jakże!

Typowy „schreibjüngełes“ z tego pana Hermana Menkesa! Autor niniejszej kroniki poznał przed laty rozmaite odmiany tego typu w prasie wiedeńskiej i opisał go w jednym z dzienników krakowskich pod nazwą „Mojżesz Taenzeles“. Minęło już dużo lat od owej chwili, ale „schreibjüngełes“ wcale się nie zmienił. Jeden pochodzi dajmy na to z Tyśmienicy, drugi z Husiatyna, a trzeci z Brodów. Wszyscy karmią się „mlekiem poezyi“ Sacher-Masocha, lub Franzosa, kształcą na artykułach z „Neue Freie Presse“, kończą lub nie kończą gimnazyum w Galicyi, a potem jazda do Wiednia. Tam czepiają się konwulsyjnie klamek redakcyjnych i robią karyerę w miarę zdolności, a właściwie sprytu i czelności. Oto „szreibjüngełes“ — mniejsza o to, czy się nazywa Taenzeles, czy... no powiedzmy Herman Menkes.

W poprzedniej kronice, pisząc o Borysławiu, powiedziałem, że „porzucona nieostrożnie zapałka płonąca, mogła Borysław przemienić w morze płomieni, a rzekę Tyśmienicę w dantejską wstęgę ognia“. Użyłem czasu przeszłego i napisałem: „mogła“, sądząc, że minęło niebezpieczeństwo. Niestety okazało się przeciwnie. Rolę płonącej zapałki odegrał piorun, który uderzył w znany szyb „Oil City“ i w jednej chwili stworzył w Borysławiu i Tustanowicach „morze płomieni i dantejską wstęgę ognia“.

Dalsze miliony poszły zupełnie na marne dzięki zupełnej obojętności rządu na wszystkie żądania, prośby, a nawet wprost błagania przemysłowców naftowych. Pożar Borysławia i Tustanowic powinien krwawą łuną zajaśnieć w ministeryalnych pałacach w Wiedniu. Może nareszcie zaślepieni hofraci przewidzą.

Minister skarbu dr. Korytowski, wyjeżdżając do Galicyi w sobotę nocnym pociągiem, dowiedział się o katastrofie w Borysławiu na dworcu i nazwał ją ogromnem nieszczęściem. Również minister kolei dr. Derschatta i minister robót publicznych dr. Gessmann oświadczyli wobec jednego z dziennikarzy wiedeńskich, że teraz wszystkie miarodajne czynniki muszą zabrać się do rzeczy, ażeby „gruntownie uzdrowić stosunki w Borysławiu“. Nareszcie! No — lepiej późno, niż nigdy. Szkoda tylko, że nauka aż tyle kosztowała.

Uwięziony w murach miejskich obowiązkami, a jeszcze więcej brakiem monety, rozczytuję się chętnie w opisach i zapowiedziach przeróżnych wycieczek, w korespondencyach z rozmaitych uzdrojowisk i miejsc kąpielowych, a nawet czasami w rozkładach jazdy, które swoją drogą są czasem dla zwyczajnego śmiertelnika nie łatwą do rozwiązania zagadką. Czytając te wszystkie rzeczy, wyobrażam sobie, że dajmy na to siedzę w Zakopanem w nowej cukierni Płonki, albo w odnowionym lokalu Dzikiewicza. Jużbym nawet zgodził się na jaką chorobę nerwową, byle tylko u Chramca wypróbować kuracyę systemem dr. Lahmanna. Ale co mnie tam dr. Lahmann — sądzę, że dr. Chramiec potrafi to samo, tylko lepiej. Słuszność miał ks. Radziwiłł „panie kochanku“, twierdząc, że Polaka powinien spowiadać i leczyć tylko Polak. Racya — niechby zresztą Francuz, ale bezwarunkowo nie Niemiec.

Czytając wspomniane wiadomości w dziennikach krakowskich, wyczytałem, że galicyjski Klub automobilowy urządza w bieżącym miesiącu wycieczkę z Krakowa do Lwowa, Rymanowa, Szmeksu, Zakopanego i z powrotem do Krakowa. Koszta podróży, jak na właścicieli automobilów, nie wielkie: 100 koron od wozu i 25 koron od osoby dziennie.

Ponieważ wycieczka ma trwać 6 dni, wystarczy tedy mieć 250 koron na opłatę kosztów, a 100 koron w rezerwie na wszelki wypadek. Oczywiście przedewszystkiem trzeba posiadać... automobil wartości kilkunastu tysięcy koron. A cel podróży? Jakiżby? — zawołasz czytelniku. Poznanie kraju i jego osobliwości. Niekoniecznie. Oficyalny program powiada, że celem tej jazdy będzie... „ustalenie i obliczenie ilości zużytej benzyny na wspomnianej przestrzeni i zapoznanie się członków“. To rozumiem. Niech idą w kąt wszystkie wycieczki do Krakowa dla poznania jego zabytków. Grunt benzyna, choćby w głowie brakowało oleju.

Słyszę ciągle, że Kraków się wyludnia z powodu letniej pory, ale nie spostrzegam tak bardzo tego wyludnienia, ani na ulicy, ani na plantach, ani w kawiarniach. Przypuśćmy, że opuściło 1000 rodzin równocześnie nasze miasto i że każda rodzina liczy przeciętnie po pięć osób. Ubyłoby w ten sposób 5000 osób, co na 100.000 ludności w Krakowie nie jest znowu tak wielką liczbą, ażeby jej brak był rażący i natychmiast spostrzegalny.

Jeżeli kółko znajomych, składające się z 10 rodzin, straci przez wyjazd na wieś połowę z tej liczby, to oczywiście może mówić o wyludnieniu, ale tylko swojego kółka. Rachunek ten można ostatecznie rozszerzyć co najwięcej na pewną warstwę ludności i to zamożniejszej — zresztą Kraków nie zmienił się wcale.

Co prawda brakuje dużo mundurów studenckich, rozpoczęły się bowiem wakacye w szkołach średnich. Życzymy zasłużonego wypoczynku młodzieży, która przez wakacye w zapadłych wsiach może dużo zdziałać przez dwa miesiące dla oświaty i uświadomienia ludu. Zwłaszcza przykładem własnym.

h. j—e.

Głosy publiczne.

Konkursy. Zarząd główny »Macierzy szkolnej« rozpisuje niniejszym konkursy:

1. Na posadę kierownika przywatnej trzyklasowej szkoły w Boguminie na dworcu. Płaca według postanowień śląskiej ustawy szkolnej, pomieszkanie w naturze, dodatek funkcyjny 250 koron i dodatek »Macierzy« w wysokości 10 procent od płacy zasadniczej.

2. Na posadę nauczycielki prywatnej 3-klasowej szkoły w Boguminie na dworcu.

3. Na posadę nauczyciela prywatnej 3-klasowej szkoły w Dziećmorowicach.

4. Na posadę nauczyciela i nauczycielki prywatnej 4-klasowej szkoły w Ostrawie Polskiej.

5. Na posadę mistrzyni prywatnej ochronki w Ostrawie Polskiej. Płaca roczna 720 koron, 10 procent dodatek »Macierzy« 72 koron i wolne pomieszkanie.

6. Na posadę mistrzyni ochronki w Cieszynie. Płaca roczna 720 koron, 10 procent dodatek »Macierzy« 72 koron, dodatek na mieszkanie 250 koron.

Wymienione posady nadane będą prowizorycznie na rok jeden z obopólnem prawem 3-miesięcznego wypowiedzenia.

Wysokość płac normuje śląska ustawa szkolna w następujący sposób: Nauczyciel bez egzaminu kwalifikacyjnego pobiera adjutum w kwocie 900 koron rocznie; nauczyciel posiadający patent kwalifikacyjny, płacę 1200 koron do czasu włączenia go do statusu, co następuje zwyczajnie w trzy lata po zdaniu egzaminu kwalifikacyjnego. Płace włączonych do statusu nauczycieli, dzielą się na 4 klasy a mianowicie: IV. klasa 1400 koron, III klasa 1600 koron, II. klasa 1800 koron, I. klasa 2000 koron Klasę płacy nauczyciela, mającego stałą posadę poza Śląskiem, oznaczy Zarząd główny »Macierzy« podług lat służby. Pięciolecia wynoszą 10 procent od płacy zasadniczej Każdy nauczyciel otrzyma nadto 10 procent płacy tytułem dodatku »Macierzy« i odpowiednie wolne pomieszkanie, względnie dodatek na mieszkanie od 250 do 500 koron, zależnie od warunków miejscowych.

Podania należycie udokumentowane wnosić należy do 20 **lipca b. r.** pod adresem: Zarząd główny »Macierzy szkolnej Księstwa Cieszyńskiego« w Cieszynie, Dom Narodowy.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 hal. na koszta zmiany.

Przypominamy to ze względu na zbliżający się czas wyjazdów do letnisk i miejsc kuracyjnych.

Zjazd delegatów muzeów we Lwowie.

W powodzi najrozmaitszych zjazdów, kongresów, zgromadzeń z ostatnich czasów, przeszedł bez większego wrażenia odbyty we Lwowie przed kilku dniami zjazd delegatów Związku muzeów przemysłowych z Austryi. Rozpoczął on się w sobotę wieczór zebraniem towarzyskiem w sali hotelu Imperial, następnego dnia zaś nastąpiło uroczyste otwarcie obrad Zjazdu w hali miejskiego muzeum.

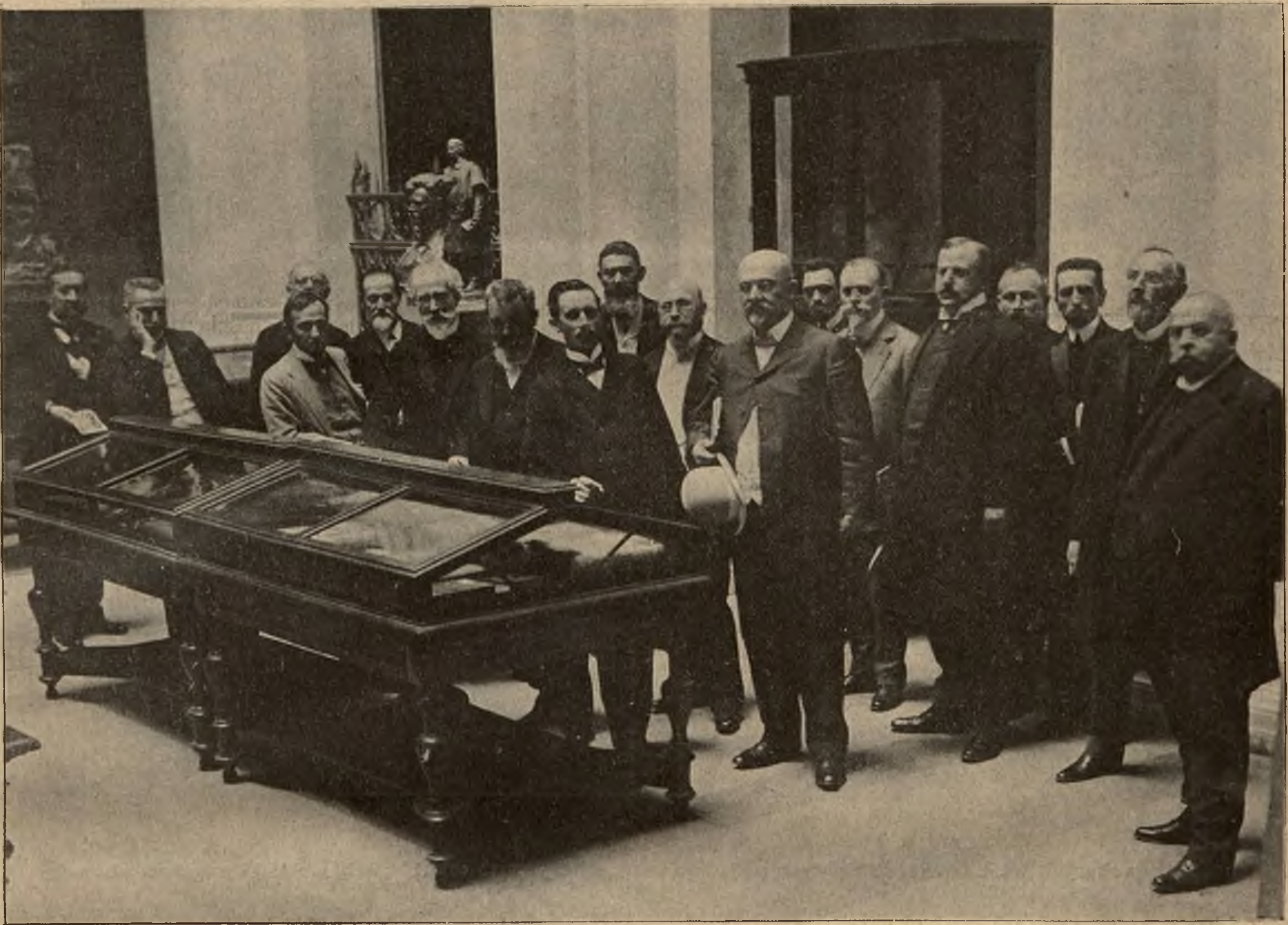
Na Zjazd przybyli delegaci z Krakowa, radca Stryjeński i architekt Mączyński, dalej z Liberca, Pragi, Budziejowic, Cieplic, Gracu i Ołomuńca, a wreszcie członkowie kuratoryi lwowskiego muzeum oraz urzędnicy tej instytucyi.

Zebranych powitał piękną przemową wiceprezydent miasta dr. Rutowski, witając ich bardzo serdecznie i podkreślając znaczenie Zjazdu dla rozwoju muzeów. Imieniem gości odpowiedział delegat z Liberca, dr. Schwedeler-Meyer.

Następnie zwiedzili uczestnicy zjazdu wszystkie sale muzeum lwowskiego oraz galeryę obrazów, oprowadzani przez twórcę tej galeryi wiceprezydenta dr. Rutowskiego. W czasie zwiedzania muzeum zwrócili goście szczególniejszą uwagę na okazy przemysłu artystycznego, na meble starożytne, zbiory prześlicznych miniatur, tabakier, zegarów, ceramiki, zwłaszcza zaś na majoliki chłopskie, na wyroby kościelne, porcelanę polską, wyroby przemysłu domowego i dział etnograficzny.

Po szczegółowem zwiedzeniu wszystkich części muzeum, udali się uczestnicy zjazdu do biur dyrekcyi, gdzie rozpoczęto merytoryczne obrady. Omawiano na nich sprawy wyłącznie i ściśle zawodowej natury.

Popołudniu zwiedzono gremialnie przepiękne zbiory prywatne dr. Wł. Łozińskiego, muzeum ks. Lubomirskich, a nad wieczorem park Kilińskiego. Na drugiem posiedzeniu omawiano fachowe kwestye muzealne, dotyczące ubezpieczenia zbiorów przed włamaniem i kradzieżą, centralizacyi zakupna dzieł bibliotecznych itd., a w końcu dokonano wyboru zarządu na rok następny.



Fot. M. Münz, Lwów.

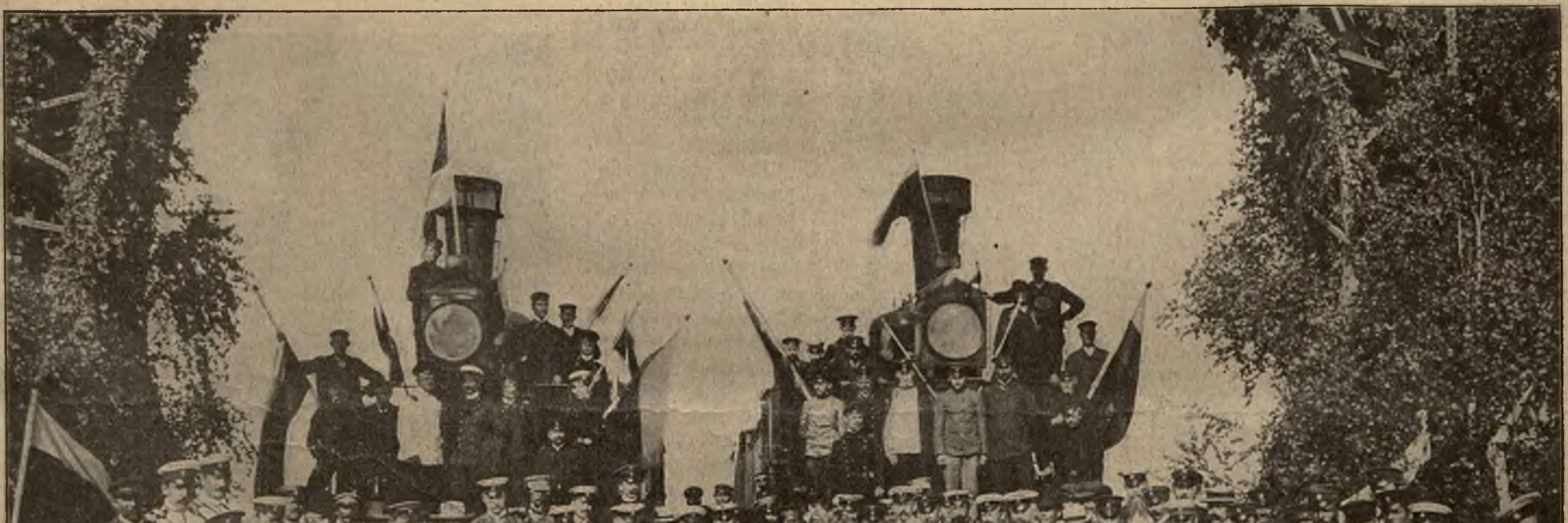
Zjazd delegatów muzeów we Lwowie: Uczestnicy zjazdu w hali lwowskiego muzeum.

Na zakończenie zwiedzono zbiory prywatne znanego mecenasa sztuki, b. namiestnika Leona hr. Pinińskiego.

Nowy most w Warszawie.

Warszawa doczekała się wreszcie drugiego mostu kolejowego na Wiśle, który po kilkuletniem stadyum przygotowawczem rozpoczęto budować przed trzema laty, a przed kilku dniami po poświęceniu oddano do użytku publicznego. Projekt nowego mostu opracował profesor instytutu inżynierów komunikacyi w Petersburgu, Bielelubski, robotami zaś kierował inżynier komunikacyi Lubicki.

Nowy most, wznoszący się w odległości piętnastu sążni od znacznie węższego mostu starego, złożony jest z siedmiu przęseł rzecznych o rozpiętości sześćdziesięciu sześciu metrów oraz dwóch przęseł nadbrzeżnych o rozpiętości szesnastu i pół metra, same zaś przęsła opierają się na ośmiu filarach i dwóch ścianach oporowych. Filary te zbudowane, co należy uznać za zasługę kierownictwa budowy,

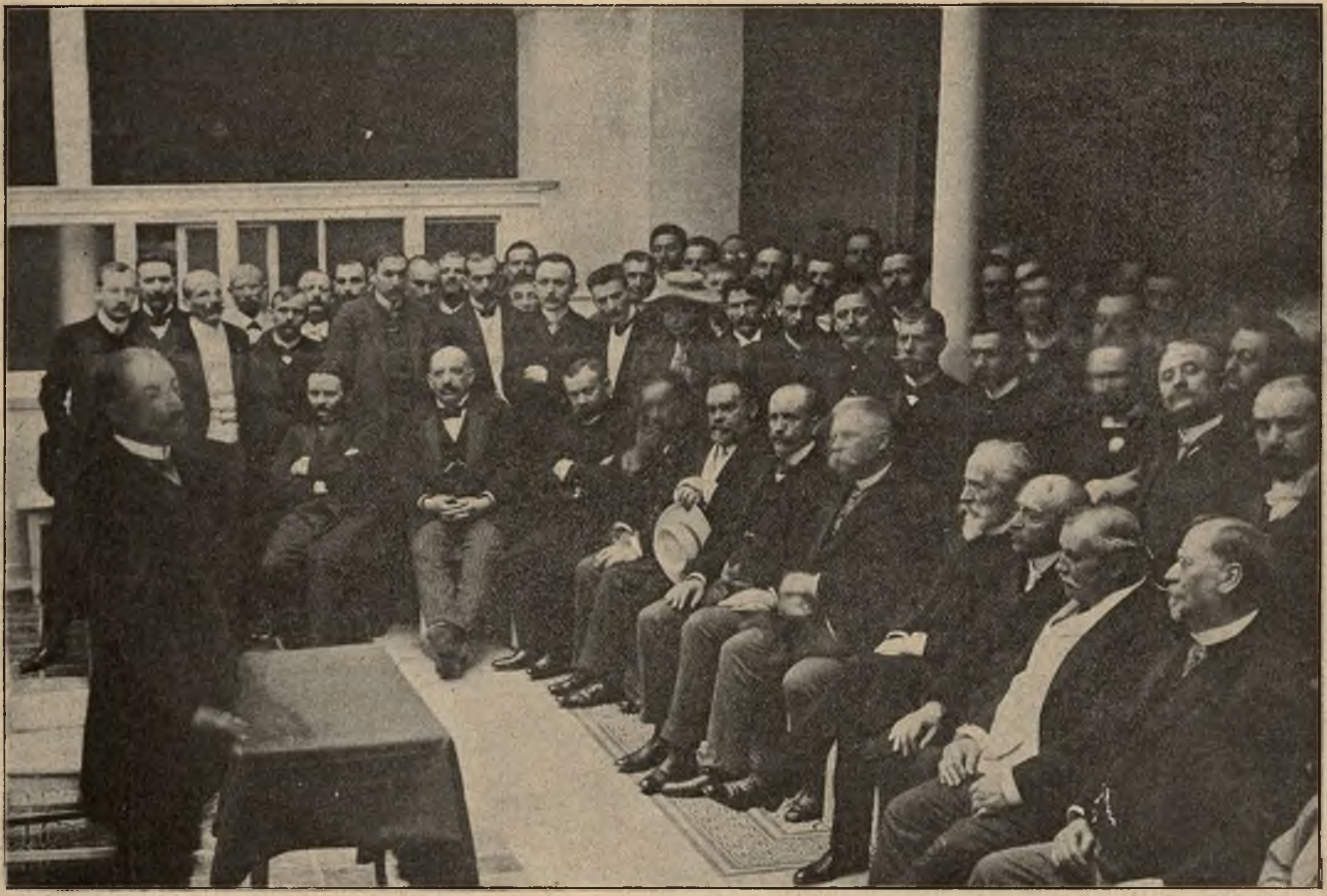


Nowy most w Warszawie: Uroczystość otwarcia drugiego mostu kolejowego na Wiśle w Warszawie. 1. kierownik robót inż. A. Lubicki; 2. autor projektu prof. M. A. Bielelubski.

z krajowego granitu polnego, łączonego cementem i licowane ciosanemi blokami z tegoż granitu, umocowane są na żelaznych kesonach, opuszczonych od siedmiu do dziesięciu sążni w głąb dna rzeki. Tory urządzono na podkładach dębowych. Koszt budowy mostu wynosi milion trzysta ośmdziesiąt siedm tysięcy rubli, przyczem na samą konstrukcyę górną i tor wydano ośmset dwadzieścia dwa tysięcy rubli.

Dla stwierdzenia wytrzymałości mostu przeprowadzono wobec komisyi inżynierskiej próby ciężarowe. Po obejrzeniu konstrukcyi mostu wprowadzono na tor naprzód parowóz, prowadzony przez naczelnika kolejowych warsztatów na Pradze, inżyniera Sosnowskiego, następnie tuż za nim dwa złączone parowozy z czterema platformami pełnemi kamieni, po siedmset pięćdziesiąt pudów każda, wreszcie wtoczył się jeszcze jeden parowóz, poczem dopiero ruszyły one razem naprzód, zatrzymując się po pół godziny na każdym z filarów. Próby wykazały znakomitą budowę i najzupełniejszą wytrzymałość.

Mieszkańcy Warszawy przyjęli wiadomość o otwarciu nowego mostu z dużem zadowoleniem, wzmagający się bowiem ciągle ruch kolejowy uczynił potrzebę tego mostu wprost konieczną i gwałtowną.



Fot. M. Münz, Lwów.

Gmach Kasy chorych we Lwowie: Przemówienie p. Nachera wobec zgromadzonych członków Rady miejskiej i prezydyum miasta.

Najście Niemców na ziemie polskie.

Rzetelną usługę nietylko społeczeństwu naszemu, ale i rosyjskim sferom rządowym, oddał jeden z młodszych polskich publicystów Stefan Gorski, który całym szeregiem artykułów, umieszczanych w różnych czasopismach, a zwłaszcza obszerną pracą, drukowaną w czasopiśmie *„Świat słowiański"*, otworzył oczy szerokich kół społeczeństwa na wzmagające się ciągle niebezpieczeństwo niemieckie.

Już w pierwszych pracach swych z przed kilku lat, o działalności Niemców w Łodzi, wskazywał p. Gorski na ich organizacye, mające na celu zdobycie jak największych wpływów i wykorzystanie ich na korzyść Prus. Niemcy bowiem w Królestwie, choć przy każdej sposobności zwą się głośno wiernymi obywatelami państwa rosyjskiego, w gruncie rzeczy uważają je tylko za teren do zdobycia dla braci z nad Sprewy. Dzięki tajemnemu poparciu rządu pruskiego koloniści niemieccy prowadzili dotychczas krecią a skuteczną robotę z pełną nadzieją, iż i na przyszłość nie spotkają na swej podziemnej drodze żadnych przeszkód. To też zdemaskowanie ich przez p. Gorskiego zaniepokoiło początkowo Niemców nadbałtyckich, którzy jednak uważali alarm prasy polskiej za słomiany ogień i sądzili, że z biegiem czasu wszystko ucichnie i powróci do dawnego trybu. Tymczasem zawiedli się srodze, prace bowiem p. Gorskiego przedostały się do prasy rosyjskiej i zwróciły uwagę jej na dążenie Niemców na Wschód.

Wszyscy uznają to niebezpieczeństwo i wzywają do stawienia jak najenergiczniejszego oporu ruchowi pangermańskiemu.



Najście Niemców na ziemie polskie: Stefan Gorski.

Ku czci polskiego chirurga.

W celu uczczenia zasług niedawno zmarłego dr. Władysława Krajewskiego, jednego z najwybitniejszych polskich chirurgów, który tak pracami naukowemi, ogłoszonemi drukiem, jak i znakomitemi operacyami zdobył sobie ogromną sławę, grono jego uczniów ufundowało plakietę pamiątkową, wmurowaną przed kilku dniami w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Płaskorzeźba ta, dzieło wysokiej wartości artystycznej, wykonane przez zaszczytnie znanego artystę-rzeźbiarza Woydygę, przedstawia zmarłego lekarza przy łożu chorego starca. Jedną ręką bada lekarz puls chorego, a w drugiej trzyma dziecięce dłonie dziewczynki, która zapatrzona w twarz lekarza błagalnemi oczami stara się wymodlić zdrowie dla umierającego. Poza plecami chirurga stoi chłopiec, przyglądający się z lękiem ojcu; głowę chorego podtrzymuje piękna postać siostry miłosierdzia.

Dzieło całe ze skromnym w rogu napisem: „Władysławowi Krajewskiemu — uczniowie — 1908" sprawia bardzo dodatnie wrażenie. Plakieta będzie żywo przypominała wielkiego lekarza, który wiedzą swą i poświęceniem tysiącom ludzi ocalił życie.



Ku czci polskiego chirurga: Plakieta na cześć śp. dr. Władysława Krajewskiego.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a.

2 Ciąg dalszy



Cała ta historya poczęła wydawać mu się naj zwyklejszem spotkaniem. Ta trójka — to robotnicy powracający do domu, na których napadli opryszki. Cóż w istocie mogło wzbudzić w nim takie podejrzenia? Chód ich ociężały, przestraszające twarze? Lecz czyż on sam, gdyby się ukazał komu w nocy niespodzianie, nie wywołałby podobnego wrażenia? Zwątpił już we własną przedsiębiorczość, gdy nagle, opierając się ręką na napotkanych w ciągnącem się bez końca ogrodzeniu drzwiczkach, uczuł, iż otwierają się.

Podniósł wzrok. W głębi ogrodu na ciemnem tle nocy znaczył się dom jakąś czarną tajemniczą plamą; nigdzie najmniejszego błysku światła. Doznał nieprzyjemnego uczucia pustki, jaka płynęła z tego domu. Wzruszył ramionami i zamruczał: czego ja tu szukam? zdaje mi się, że znowu wpadam w sidła własnej wyobraźni, a jednak dlaczego te drzwiczki nie są zamknięte?

Furtka powoli otwarła się zupełnie. Przed sobą ujrzał dobrze utrzymany ogródek z wypielonemi ścieżkami, posypanemi żółtym piaskiem, który w blasku księżyca błyszczał jak okruszyny złota. „Zapewne gospodarz zapomniał zamknąć je na noc" — pomyślał i chciał już ruszyć dalej, gdy naraz spostrzegł na kilka kroków przed sobą wyraźne, świeże ślady stóp, w niektórych jednak miejscach zasypane już podmuchem wiatru. Pochylił się i wziął do ręki garstkę piasku: był suchy, bardzo drobny, tak iż najlżejszy powiew mógł go poruszyć.

Wszystkie poprzednie zwątpienia rozwiały się odrazu. Nigdy umysł jego nie był lotniejszym, nigdy nie czuł w sobie większego spokoju. To, co przed chwilą wydawało mu się złudzeniem, obecnie przedstawiło mu się jako fakt stwierdzony. Nabrał zupełnej pewności: ślady te musiano odcisnąć niedawno dopiero, w przeciwnym bowiem razie wiatr jużby je zasypał. Ci dwaj mężczyźni i ta kobieta byli tutaj! Nikt oprócz nich nie przekraczał dzisiaj progów tego domu, który we wnętrzu swych milczących murów, poza spuszczonemi roletami okien, kryć musiał jakąś tajemnicę. Nieznana siła pchała go naprzód.

Wszedł. Z początku posuwał się ostrożnie, starając się o ile możności nie stawiać nóg na odciśniętych śladach. Złoczyńcy, nie spodziewając się tego, pozostawili po sobie kartę wizytową: odciski swych stóp, które uszanowałby nawet najprostszy ajent policyjny. Przypomniały mu się całe masy sensacyjnych spraw, w których jeszcze słabsze wskazówki ułatwiały poszukiwania, jak naprzykład historya pewnego zbrodniarza, którego odkryto po upływie kilkunastu lat, dzięki zgubionemu przezeń trzewikowi. Tak rozmyślając, doszedł po przejściu dziesięciu kroków do drzwi domu, które rozwarły się pod naciśnięciem klamki.

Wszedł śmiało do środka, gdy atoli usłyszał wśród otaczających go ciemności odgłosy własnych kroków, zatrzymał się niepewny, nadsłuchując z zapartym oddechem, czy w tej martwej ciszy nie dojdzie go jakiś inny głos. Zaczął szukać w kieszeniach zapałek, znalazł jednak tylko puste pudełko, dostał natomiast rewolwer i trzymając go w jednej ręce z palcem na kurku, drugą rękę oparł o zimne, wilgotne ściany kurytarza i począł posuwać się wolno, po omacku. Nagle ręka jego zwisła w pustej przestrzeni, sam zaś natknął się na jakiś twardy przedmiot. Pochylił się i przekonał, że są to schody, po których, natrafiwszy na poręcz, począł wstępować do góry. Gdy naliczył dwanaście stopni, znalazł się znowu w wolnej przestrzeni. Przedewszystkiem postanowił przyjrzeć się bacznie terenowi, na jaki wszedł, a zwłaszcza dać o sobie znak jakiś mieszkańcom tego domu.

Wszyscy jednak musieli być pogrążeni w głębokim śnie, jeżeli mimo skrzypienia schodów i otwierania drzwi nikt się nie obudził. A może już gdzie z boku oczekują na niego przygotowani do odparcia z bronią w ręku tego najścia? Myśl ta nie dawała mu spokoju, dla zabezpieczenia się więc przed niespodzianym atakiem sam zadał pytanie półgłosem:

— Kto tu jest?...

Nikt nie odpowiedział; zapytał więc znowu głośniej:

— Czy niema nikogo?

Po krótkiej chwili dodał znowu:

— To ja, proszę otworzyć!...

Znowu żadnej odpowiedzi.

— Do dyabła, pomyślał sobie, toż tu śpią mocno! okoliczność ta może popsuć wszystkie me plany, w każdym jednak razie nie będę wystawiał się na niebezpieczeństwo. Trzeba jeszcze raz odezwać się i donośnym głosem zawołał:

— Proszę otworzyć! policya!...

Sam się roześmiał z tych słów. Skąd mu przyszła myśl przedstawiania się za policyanta?... Onesime Coche policyantem! on, którego głównem zadaniem dotychczas było wytykanie policyi jej wad, ośmieszanie agentów, on znalazł się nagle w roli policyanta. Okoliczność tę jednak musi wykorzystać. Jutro rano napisze sensacyjny artykuł, w którym wykaże w jaki to sposób policya spełnia swe obowiązki: agenci śpią lub grają na ławkach w karty, dziennikarze zaś odkrywają włamania.

Magiczne to słowo policya, na dźwięk którego otwierają się wszelkie drzwi i zapory, pozostało tym razem bez echa. Najmniejszy szmer nie zakłócił majestatu ciszy. Coche spostrzegł, iż podstęp nie udał się, niebezpieczeństwo zaś groziło ciągle. Jedna tylko rzecz dodała mu otuchy: oczy jego przyzwyczajone do ciemności poczęły rozróżniać przedmioty. Rozglądając się, ujrzał z boku drzwi, do których szybko podszedł, chwycił za klamkę i przyciągając ją silnie ku sobie, by ktoś z zewnątrz jej nie otworzył, zawołał głośno:

— Proszę nie bać się, to swój!

Czekał chwilę, nie otrzymując jednak odpowiedzi, pchnął drzwi naprzód. Spodziewał się jakiegokolwiek oporu z tamtej strony, tymczasem porwany własnym impetem potknął się na progu i upadł na ziemię, przewracając w ciemności jednocześnie krzesło.

— No, teraz już — pomyślał — łoskot ten musi wszystkich obudzić...

Lecz ciszy nic nie przerywało, milczenie nocy panowało niepodzielnie.

— Aha — ciągnął w myśli dalej, to moja trójka była dowcipniejsza, niżbym przypuszczał. Upewnieni, że mieszkanie puste, dokonali najspokojniej swej pracy i ulotnili się, nie troszcząc się nawet o zamknięcie drzwi. Dlatego też nikt nie wyszedł na moje spotkanie.

Macając po ścianie pokoju rękami, natrafił na guzik przewodu elektrycznego, zakręcił go i odrazu znalazł się w potokach światła. W pierwszej chwili przymrużył oczy porażony blaskiem, podnosząc jednak powieki, cofnął się nagle przerażony, czując, jak zimny pot oblewa mu ciało: ujrzał przed sobą straszny widok.

Pokój znajdował się w stanie najzupełniejszego zniszczenia. Koło otwartej szafy leżał stos porozrzucanej bielizny. Podłoga zasłana była pomiętemi prześcieradłami z wielkiemi plamami krwi. Z szuflad komody powyrzucano najrozmaitsze drobiazgi. Przy firance na ścianie obitej jasną materyą widniało czerwone odbicie ręki z rozpostartemi palcami. Pęknięte lustro nad kominkiem świeciło pośrodku wielką szczerbą. Na toalecie walały się pogniecione koperty, strzępy bielizny i kawałki sznura.

Z miednicy ściekała woda czerwona od krwi, znacząc się wielkiemi plamami na marmurowym blacie. Obok leżał skręcony i przesycony krwią ręcznik. Wszystko nosiło na sobie ślady krwi, z której koło łóżka utworzyła się dość znaczna kałuża. Na pościeli ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, leżał rozciągnięty mężczyzna ze straszną raną na przeciętem od lewego ucha aż do krtani gardle. Pokój ten, mieniący się cały czerwonymi refleksami krwi, która znaczyła się na każdym kroku, sprawiał wrażenie nie mieszkania ludzkiego, lecz rzeźni.

Onesime Coche jednem spojrzeniem objął ten straszny widok, a przerażenie jego, potęgowane ponurą ciszą, było tak wielkie, iż wstrząśnięty nagłymi dreszczami padł bez czucia na ziemię.

Nieraz już z ciekawości lub z obowiązku dziennikarskiego musiał patrzeć na ohydne sceny, nigdy jednak nie doświadczył takiego wstrętu i przerażenia jak obecnie. Zazwyczaj wiedział naprzód, co będzie miał do oglądania, przytem znajdował się w towarzystwie innych, dziś dopiero po raz pierwszy znalazł się niespodzianie i sam wobec strasznej śmierci.

Po chwili oprzytomniał i podniósł się z ziemi. W pękniętem lustrze ujrzał najpierw siebie; blady był, oczy miał podkrążone czarną obwódką, suche wargi skrzywione boleśnie, a z małej ranki na czole, po którem spływały wielkie krople potu, sączyła się wąskim paskiem krew.

Początkowo, nie przypominając sobie upadku przy drzwiach, sądził, że to na lustrze znajduje się czerwona plama. Pochylił głowę, lecz i ten znak poruszył się. Strach go wtedy ogarnął. Nie strach śmierci, milczenia, morderstwa, lecz jakiś dziwny szalony strach przed czemś niewiadomem. Podszedł do lustra i chwytając się kurczowo za marmur kominka, począł przyglądać się sobie, przerażony swą własną postacią. Nie mógł opanować siebie, dopiero po kilku minutach wewnętrznej walki ze sobą, gdy rozpalone czoło przytknął do zimnego marmuru, uspokoił się i na tyle przyszedł do siebie, że mógł spokojnie rozejrzeć się wokoło. Potem skierował się do łóżka, miażdżąc stopami resztki potłuczonego szkła.

Na głowie zamordowanego nie było śladów krwi, natomiast ramiona leżały w czerwonej gęstej kałuży. Jak najdelikatniej ujął głowę jego w obie ręce i podniósł ją wolno, wskutek czego rana na szyi rozwarła się szerzej, okazując pociemniałe wnętrze gardła. Oczy przymknięte do połowy powiekami, wyrażały straszną, przedśmiertną trwogę.

Składając głowę na poduszki, przypomniała mu się nagle ta trójka z bulwaru i w jednej chwili ujrzał w myśli cały dramat, jaki się tutaj rozegrał. Podczas gdy kobieta stała na straży, obaj mężczyźni po wyłamaniu zamków we drzwiach weszli na pierwsze piętro, spodziewając się znaleźć tam dla siebie zdobycz.

Starzec zaskoczony we śnie ich najściem, począł prawdopodobnie wzywać pomocy i wtedy zbrodniarze rzucili się na niego. Dla obrony schwycił butelkę i walcząc nią zranił w czoło jednego ze zbrodniarzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon b. prezydenta Stanów Zjednoczonych.

(Do illustracyi na stronie 9).

W szeregu byłych prezydentów Stanów Zjednoczonych zmarły niedawno Grover Cleveland, cieszyć się będzie zawsze pamięcią jednego z najwybitniejszych i najzacniejszych. Był to typ Amerykanina starej daty: energiczny i uparty, traktujący każdą sprawę z chłodną rozwagą, dbały tylko o wewnętrzny rozwój Unii, a niedostępny dla marzeń i zakusów imperyalistycznych, nie mógł podobać się pokoleniu archimilionerów, którzy w dolarze tylko widzieli wielkość ojczyzny.

To też po skończeniu czterolecia swej prezydentury, podczas której wytężał wszystkie swe siły dla powściągnięcia wydatków niepotrzebnych i marnotrawstwa grosza publicznego, został pobity przy wyborach przez kandydata wielkich finansistów i przemysłowców, Benjamina Harrisona.

Opuściwszy w 1888 r. urzędowanie, powrócił do Buffalo miejsca swego stałego zamieszkania i począł w dalszym ciągu prowadzić kancelaryę adwokacką, z powołania bowiem był adwokatem. Po upływie jednak czterech lat został powołany znowu do objęcia najwyższego urzędu Stanów Zjednoczonych. Wierny swym zasadom spowodował obalenie prawa, ustanawiającego wysokie opłaty celne, uchwalonego za rządów poprzednika, co wywołało przeciw niemu zawziętą niechęć wszystkich przemysłowców Na następne też czterolecie wybrano prezydentem Mac-Kinleya, Cleveland zaś usunął się w zacisze życia domowego.

Zmarł w Nowym Yorku w siedmdziesiątym pierwszym roku życia.

Gmach lwowskiej Kasy chorych.

(Do illustracyi na str. 16).

Jedną z najważniejszych instytucyj społecznych, jakie istnieją od szeregu już lat i spełniają dzielnie swe dobroczynne zadanie, jest instytucya kas chorych, miejskich i powiatowych. Niosą one pomoc ludziom ubogim a tem biedniejszym, że chorym.

Z pomiędzy galicyjskich kas chorych wysunęła się na czoło kasa lwowska, a nowym dowodem jej rozwoju i żywotności jest wzniesienie własnego domu, urządzonego wedle wszelkich wymogów hygieny i z zastosowaniem najnowszych zdobyczy techniki budowlanej.

Na stosunkowo wąskim skrawku ziemi, budowniczy Musiołek wybudował dom jednopiętrowy, który mieści w sobie obszerną poczekalnię dla chorych, obszerne ubikacye dla personalu biurowego i dla lekarzy.

Uroczyste otwarcie tego domu odbyło się zeszłego tygodnia w obecności wiceprezydenta namiestnictwa dr. Kleeberga, starosty Hołodyńskiego, prezydenta miasta Ciuchcińskiego, obu wiceprezydentów miasta, mnóstwa członków rady miejskiej, sekretarza Izby handlowej dr. Stesłowicza i całego szeregu zaproszonych gości.

Uroczystość zagaił sekretarz kasy Nacher, jako przewodniczący komisyi budowlanej, oddając budynek zarządowi. Odebrał go następnie imieniem zarządu długoletni prezes kasy Besen, poczem przemawiali kolejno prezydent miasta Ciuchciński, dyrektor kasy Hudec imieniem personalu urzędniczego, lekarz naczelny dr. Bett imieniem grona lekarzy, poseł dr. Diamand jako parlamentarny reprezentant robotników, w końcu p. Manasterski imieniem ubezpieczonych.

Gremialnem zwiedzaniem budynku zakończyła się uroczystość.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

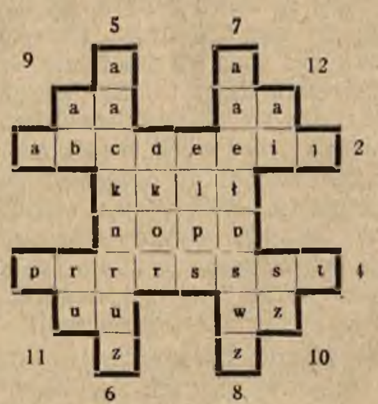
Ułożył Z Gaudnik, Stary Sącz.

Kto życie pędzi burzliwe
Bez Boga i hałaśliwe,
Ten się nie spostrzeże snadnie,
Gdy w ręce dwóch pierwszych wpadnie.
W pieśni bywa trzecia czwarta,
Czasem mniej lub więcej warta.
Całość zgrozą nas przejmuje.
Różnie ludność prześladuje.

Logogryf

Ułożył A. Rotter Stanisławów.

Litery uporządkować tak, aby tworzyły znaczenia: rząd 1—2 prowincya francuska, 3—4 nazwa celi klasztornej lub pustelniczej, 5—6 imię żeńskie, 7—8 gałąź królewska francuskiej rodziny Bourbonów. Przekrój 9—10 Jezioro w Rosyi, 11—12 kraj i rzeka w Ameryce południowej.



Zagadka

Ułożył A. W.

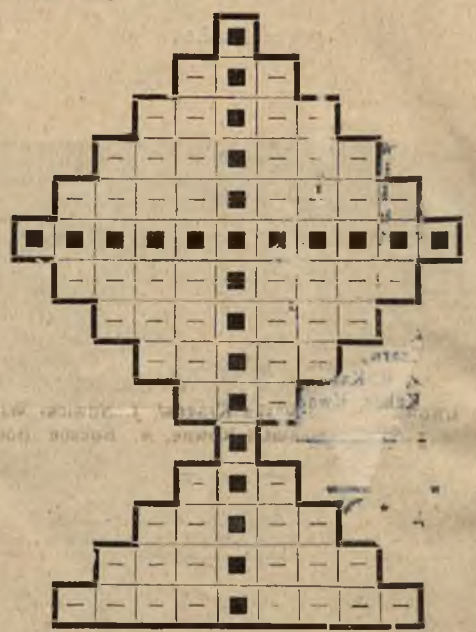
W następujących 6 wyrazach przemienić litery tak, aby powstało znane przysłowie polskie:

Znaczenie wyrazów: 1) ajk, 2) bkau 3) goub 4) akt 5) ógb 6) iubek.

Logogryf.

Ułożył I. W.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposó, by litery wstawione w miejsce kwadratów, a czytane z góry na dół, w pionowym kierunku utworzyły nazwisko jednego ze zmarłych malarzy i tytuł jego dzieła.

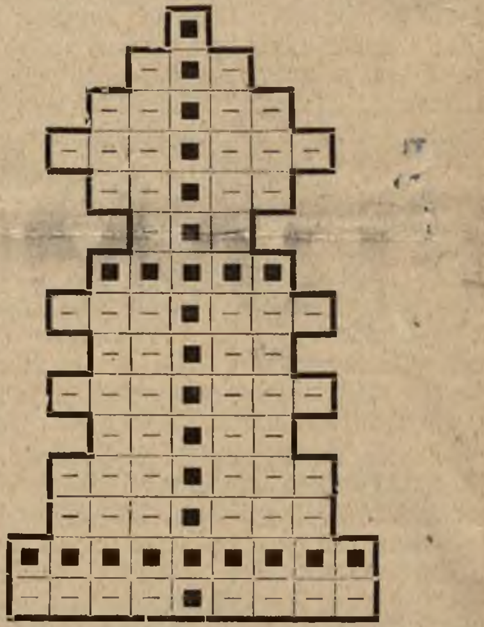


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Część twarzy. 3. Część pługa. 4. Ogrodowa zabawa. 5. Polski poeta znany jako Acernus. 6. Nazwisko malarza. 7. Satyryk polski. 8. Jenerał w powstaniu z roku 1830-31. 9. Kraj w Europie. 10. Narząd wzroku. 11. Spółgłoska. 12. Owad. 13. Przysłówek. 14. Wóz pogrzebowy. 15. Towarzystwo w Galicyi znane.

Logogryf.

Ułożył M. Czeczótka, Limanowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery w stawione w miejsce kwadratów, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko pisarki polskiej, zaś w rzędzie siódmym i czternastym tytuły dwóch powieści tejże autorki.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Rzeka w Alzacyi. 3. Kraj w Afryce. 4. Miasto w Niemczech. 5. Imię żeńskie. 6. Poeta polski. 7. ? 8. Dopływ Seretu. 9. Ryba. 10. Utwór Brodzińskiego. 11. Dowódca wyprawy po złote runo. 12. Kopiec w Krakowie. 13. Powieść Kraszewskiego. 14 ? 15. Miejscowość sławna z historyi polskiej.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy ostatni tom dzieł Sienkiewicza pod tytułem »Dwie łąki«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 26.

Szarada.

Zakopane.

Zagadka.

Bolesław Prus.

Szarada.

Orszada.

Logogryf.

Henryk Wieniawski.

Zagadka.

Henryk Rzewuski.

Zagadka.

Hic Rodus hic salta.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Grotkowski Kraków J. Diehl Stryj, R. Jaworski Kraków, A. Jerin Częstochowa, K. Fuchs Czeremchów, R. Czaplicki Kraków, S. Kuback Piotrków, F. Majewska Kraków, J. Możdżeński Wiedeń. A. Rojek Lwów, Z. Gaudnik Stary Sącz, B. Leszczyński Borysław, H. Kijeńska Łódź, A. Woyde Warszawa, Z. Wojtkowska Tarnopol, L. Wielgus Kalwarya, F. Karczewski Kraków, M. Arbesbauer Lwów, W. Laskowski Warszawa, A. Rotter Stanisławów, J. Witkowska Lwów, W. Zduniówna Raba Wyżna, J. Dobrzeiewska Warszawa, J. Januszkiewicz Podgórze, Szymborski Warszawa, J. Gawrońska Kamionka Strumiłowa, [illegible] Dunajec, H. Pawłowska Bóbrka, W. Mu[illegible]yńska Kraków, J. Nowicki Włocławek, [illegible]iński Równe, A. Bocsoń Bóbrka, A. Biliński Tarnopol, F. Niepokój Krosno, E. Bogdalska Koropuż, J. Pieniążek Lwów,

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. Witkowska Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

W celu uczczenia zasług, jakie położył dla piśmiennictwa polskiego Adam Krechowiecki, grono najwybitniejszych pisarzy naszych wydało z okazyi jubileuszu dwudziestopięciolecia pracy publicystycznej autora wspaniałą książkę pamiątkową pod tytułem »Adamowi Krechowieckiemu«. Dzieło to, wydane niezwykle starannie, ozdobiona pięknym portretem Jubilata, rozpoczyna się sylwetkami jego, skreślonemi przez Adama Bieńkowskiego, byłego współpracownika »Gazety lwowskiej«, a obecnie wyższego urzędnika ministeryalnego w Wiedniu i przez Bronisława Gubrynowicza, profesora uniwersytetu lwowskiego. Następnie idzie szereg utworów najcenniejszych naszych pisarzy z Sienkiewiczem na czele, który złożył w darze swojemu przyjacielowi przecudowną nowelę o zaślubinach w Atenach cesarza Marka Antoniusza z boginią Ateną Gromowładną Następnie dą rozmyślania Orzeszkowej »Z wieczornych myśli«, d lej szkic z zakresem estetyki »Ewolucya i moda w pojmowaniu piękna«, przez byłego namiestnika Leona hr. Pinińskiego, smętna nowela Zapolskiej »Krzyż Pański« i utwory Sarneckiego, Haloty, Gawrońskiego, Lubowskiego, Ostaszewskiego-Barańskiego, Bełzy, Jeske-Choińskiego, Rollego, Rossowskiego, Wysockiego i Wróblewskiego. Wspaniałe to dzieło zamyka szczętnie zebrana przez Staniszewskiego bibliografa prac Krechowieckiego z dwudziestu pięciu roczników »Gazety lwowskiej, której Jubilat przez ten czas był redaktorem. Dziełu temu przyświeca piękna myśl, czysty dochód bowiem z rozprzedaży jego postanowiono obrócić na fundusz imienia Adama Krechowieckiego dla wdów i sierot po dziennikarzach polskich.

Księga pamiątkowa wyszła nakładem znanej księgarni lwowskiej pod firmą Gubrynowicz i Schmidt.

Nakładem księgarni kolejowej H. Altenberga we Lwowie ukazały się tymi dniami dwie doskonałe powieści kryminalne, wyróżniające się dodatnio od innych tego rodzaju publikacyi, mianowicie Gustawa Leroux »Tajemnica żółtego pokoju«. pierwsza część przygód Jana Roulerabille'a, najsławniejszego reportera-detektywa paryskiego, w cenie 3 kor. i Maurycego Leblanca »Arsen Lupin, dżentelman-włamywacz«, wiązanka przygód sympatycznego rzezimieszka, w cenie 2 50 kor. — książki te są do nabycia we wszystkich księgarniach.



Jedyna radykalna pomoc dla cierpiących na przepuklinę!

M. FREILICH WE LWOWIE

ulica Grodecka L. 35

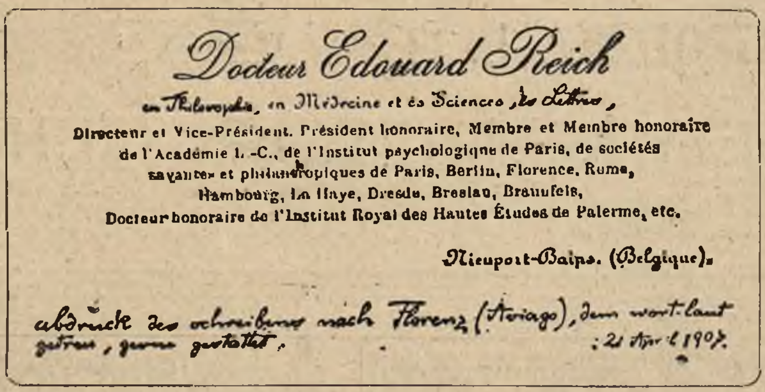
wynalazca bandaży przepuklinowych, patentowanych przez c. k. Ministeryum handlu i przemysłu, odznaczonych na wielu wystawach krajowych i zagranicznych, a przedewszystkiem we Wiedniu na wystawie hygienicznej »Das Kind« w roku 1907 pod protektoratem arcyk[sięcia] Ferdynanda Karola, jako **specyalista leczenia chorób przepuklinowych,** oraz w Rzymie został odznaczony krzyżem honorowym [na wy]stawie w roku 1908, również właściciel dyplomu honorowego »Sociète hygienique« w Padwie (Włochy) — zjednał sobie już świato[wą sławę] metodą swoją **usunięcia zupełnie przepukliny bez żadnej operacyi** jedynie tylko zapomocą zastosowania **bandaży własnego wynalazku.** — Tysiące ludzi, cierpiących na przepuklinę, zostało przez M. Freilicha zupełnie wyleczonych, tak, że tenże zupełnie słusznie zasługuje na ogólne uznanie i miano dobroczyńcy cierpiącej ludzkości.

Wysokie c. k. Ministerstwo handlu w Wiedniu rozporządzeniem z dn. 25. czerwca 1895, do L 2297, udzieliło M. Freilichowi jako specyaliście w fabrykacyi bandażów przepuklinowych własnego wynalazku, przywilej na wyłączne wykonywanie takowych, a c. k. Namiestnictwo we Lwowie pozwoliło temuż używania cesarskiego Orła w godle i pieczęci.

Setki listów dziękczynnych i uznań nietylko od chorych pacyentów ze wszystkich części świata, ale i od bardzo wielu lekarzy, stwierdzają tę opinię, że

bandaże M. Freilicha są niezawodnym środkiem do zupełnego usunięcia cierpień przepuklinowych,

a tak dalece zainteresował M. Freilich świat naukowy swoim wynalazkiem, że profesor fakult. med. Dr. Edward Reich w Nieuport-Bains (Belgia) po przestudyowaniu dzieła M. Freilicha o leczeniu przepukliny zapomocą bandaży wynalazku tegoż, napisał osobiście uznanie swoje M. Freilichowi, które w oryginale i tłumaczeniu czytelnikom przedkłamy:



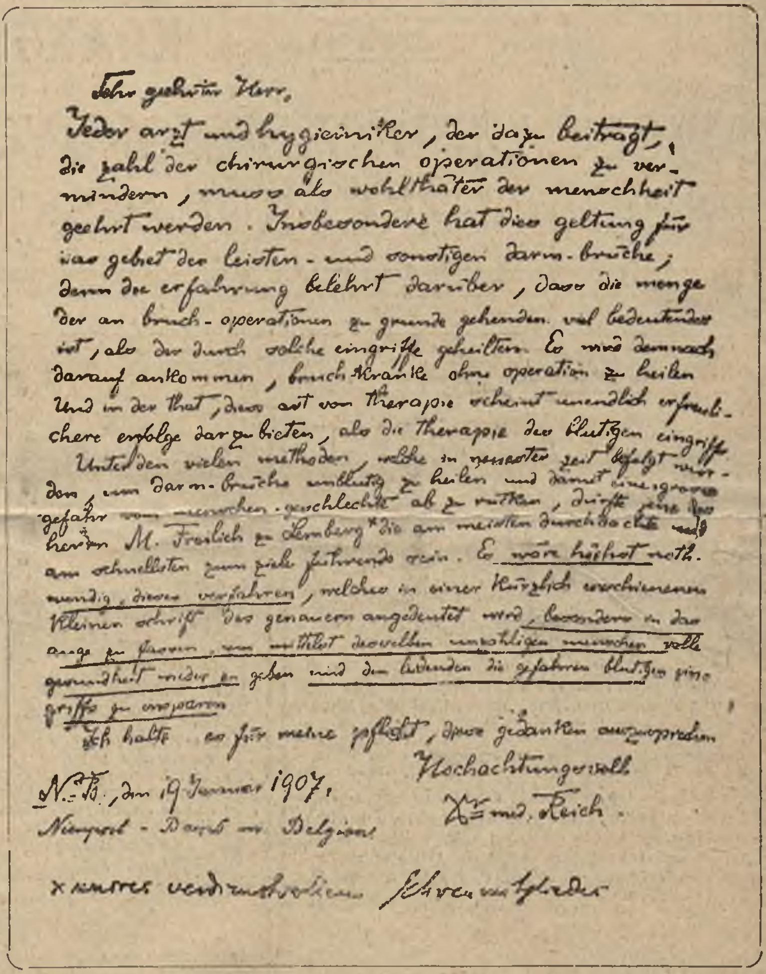
Docteur Edouard Reich

en Philosophie, en Médecine et ès Sciences, ès Lettres,

Directeur et Vice-Président, Président honoraire, Membre et Membre honoraire de l'Académie L.-C., de l'Institut psychologique de Paris, de sociétés savantes et philanthropiques de Paris, Berlin, Florence, Rome, Hambourg, La Haye, Dresde, Breslau, Braunfels, Docteur honoraire de l'Institut Royal des Hautes Études de Palerme, etc.

Nieuport-Bains. (Belgique).

abdruck des schreibens nach Florenz (Arriago), dem wortlaut getreu, gerne gestattet. : 21 April 1907.



Sehr geehrter Herr,

Jeder arzt und hygieiniker, der dazu beitragt, die zahl der chirurgischen operationen zu vermindern, muss als wohlthäter der menschheit geehrt werden. Insbesondere hat dies geltung für das gebiet der leisten- und sonstigen darm-brüche; denn die erfahrung belehrt darüber, dass die menge der an bruch-operationen zu grunde gehenden viel bedeutender ist, als der durch solche eingriffe geheilten. Es wird demnach darauf ankommen, bruchkranke ohne operation zu heilen. Und in der that, diese art von therapie scheint unendlich erfreulichere erfolge darzubieten, als die therapie des blutigen eingriffs.

Unter den vielen methoden, welche in neuester zeit befolgt werden, um darm-brüche unblutig zu heilen und damit eine grosse gefahr vom menschen-geschlechte ab zu wenden, dürfte jene des herrn M. Freilich zu Lemberg* die am meisten durchdachte und am schnellsten zum ziele führende sein. Es wäre höchst nothwendig, dieses verfahren, welches in einer kürzlich erschienenen kleinen schrift des genaueren angedeutet wird, besonders in das auge zu fassen, um mittelst desselben unzähligen menschen volle gesundheit wieder zu geben und den leidenden die gefahren blutiger eingriffe zu ersparen.

Ich halte es für meine pflicht, diese gedanken auszusprechen.

Hochachtungsvoll

N.-B., den 19 Januar 1907, Nieuport - Bains in Belgien.

Dr. med. Reich.

* unseres verdienstvollen Ehrenmitglieder

Uwagi godne uznania.

Nasz członek honorowy M. Freilich we Lwowie, obdarzony dyplomem i złotym medalem przyznanym mu na III. międzynarodowym zjeździe dla działalności filantropijnej i hygieny we Florencyi, otrzymuje od nas załączony dokument, przesłany nam przez naszego honorowego prezesa, prof. Dra med. Edwarda Reicha, dyrektora i wiceprezesa ces. L.-C.-A. akademii. Wielki ten uczony pisze w uznaniu dla p. M. Freilicha co następuje:

Szanowny Panie!

Każdy lekarz i hygienista, który przyczynia się do tego, aby zmniejszyć liczbę chirurgicznych operacyj, musi być ceniony jako dobroczyńca ludzkości. Szczególniejsze ma to znaczenie na polu przepukliny pachwinowej, czy też jelitowej.

Doświadczenie bowiem poucza, że liczba zmarłych przy operacyach w takich wypadkach jest daleko większą, aniżeli przez podobne krzywdzenie (lub operacyę) wyleczonych. Chodzi zatem o to, aby chorych na przepuklinę leczyć bez operacyi.

I w istocie wydaje się, że ten sposób leczenia daje nieporównanie lepsze rezultaty, aniżeli leczenie zapomocą operacyi.

Z pośród wielu metod, jakich trzymają się w najnowszych czasach przy leczeniu przepukliny bez operacyi, celem odwrócenia w ten sposób od ludzkości wielkiego niebezpieczeństwa, metoda p. M. Freilicha we Lwowie, naszego zasłużonego członka honorowego, wydaje się być najlepiej pomyślną i najszybciej do celu wiodącą. Byłoby rzeczą bardzo pożądaną na ten sposób postępowania, który w małej broszurce niezadługo będzie opisany, zwrócić uwagę, aby przy jego pomocy ogromnej ilości ludzi wrócić zdrowie, a cierpiącym zaoszczędzić niebezpieczeństwa krwawej operacyi. Miałem za swój obowiązek z temi myślami się wypowiedzieć.

Nieuport-Bains w Belgii, 19 stycznia 1907. Z głębokim szacunkiem **Dr. med. Reich.**

Cała prasa zainteresowała się wynalazkiem i sposobem leczenia chorób przepuklinowych przez M. Freilicha, gdyż choroba ta nawiedza nietylko biednych robotników, dźwigających ciężary, ale i ludzie zamożni często przez różne wypadki zapadają na tę straszną chorobę; przeto tak rozpowszechnione gazety jak »Wiener allgemeine Zeitung«, »Bomba«, »Vita Sexualis« w Genf, »Gazeta Żydowska« we Lwowie i wiele innych rozpisują się szeroko o tym wynalazku pod różnorodnymi artykułami, nadają mu zasłużone miano, jak: M. Freilich jako »dobroczyńca ludzkości«, »Cud człowieka«, »Przepuklina i życie płciowe« itp. — Chirurgia posługuje się w nagłych wypadkach tej choroby ciężką i życiu niebezpieczną operacyą, co obecnie od czasu wynalazku bandaży M. Freilicha zupełnie pominąć można, o czem świadczą najlepiej świadectwa znakomitych lekarzy jak: Dr. Bukowsky Endre, Dr. Blum Zygmunt, Dr. Drobner, Dr. Eisner Józef, Dr. Feuerstein, Dr. Goldhaber Paweł, Dr. Hegiesi, Dr. Kalach, Dr. Krobicki Tadeusz, Dr. Legeżyński Wiktor, Dr. Lorencki Andrzej, Dr. Lövenberg Samuel, Dr. Mironowicz, Dr. Rasia del Pòlo Guilo, Dr. Schwarz Nandor, Dr. Weigel Józef, Dr. Zucker i wielu innych, oraz tysiące podziękowań i uznań pacyentów zupełnie wyleczonych.

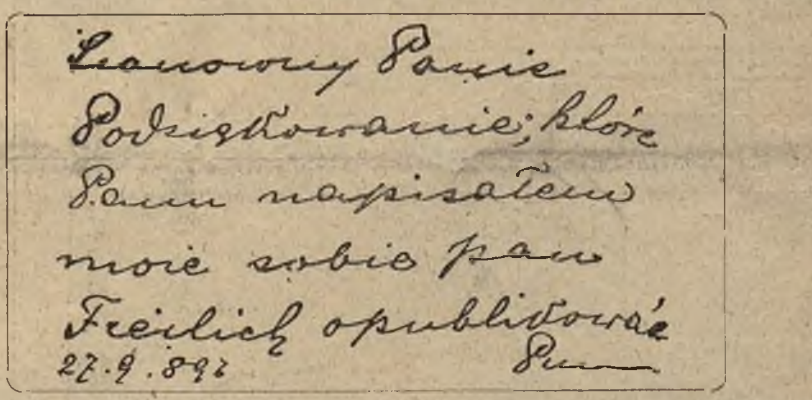
Podziękowanie.

Cierpiąc na przepuklinę udałem się do WPana **Freilicha** przy ul. Grodeckiej L. 35 i tenże p. Freilich założył mi bandaż własnego systemu, z którego wyjeżdżając, byłem zupełnie zadowolony.

Do WP. Freilicha udałem się z całem zaufaniem, albowiem polecił mi Go wuj mój Feliks Hilchen, sekretarz arcyb. Lwowskiego obrz. łać., który nie miał dość słów uznania albowiem tenże p. Freilich wyleczył go z przewlekłej przepukliny.

Przyszedłem do przekonania, że nie są żadną blagą te bandaże, i mając na sobie zbawienne skutki, z całem sumieniem mogę cierpiącym na przepuklinę WP. Freilicha polecić, jako człowieka bardzo sumiennego, mogącego prawdziwie chorego uzdrowić.

Lwów, 26 sierpnia 1906. **Władysław Bochnak**
Kraków, Szpitalna 26.



Szanowny Panie
Podziękowanie, które
Panu napisałem
może sobie Pan
Freilich opublikować
27.9.892

Szanowny Panie Freilich!

Cierpiałem na przepuklinę wielkości głowy dziecka i Pan opanowałeś tę chorobę w obecności prof. Dra Weigla. Poczuwam się przeto do obowiązku, złożyć Panu moje serdeczne podziękowanie, tem bardziej, że przez Pańskie cudowne leczenie kanał ruptowy zarośnięty został.

Lwów, 18 kwietnia 1899. **Dr. Ludwik Timoftiewicz**
c. k. weterynarz.

Poczuwam się do miłego obowiązku p. M. Freilichowi, spec. bandażyście we Lwowie, ul. Grodecka 35, wyrazić publiczne podziękowanie za założenie mi bandażu, sporządzonego według jego metody, czem w **zupełności mnie wyleczył** z obustronnej, zastarzałej przepukliny, pogorszonej przez noszenie bandaży różnych konstrukcyj. Przez cały czas leczenia pan Freilich z wielką przezornością i sumiennością spełniał swe obowiązki. To stwierdzając, polecam jego jak najlepiej w podobnych wypadkach.

Aleksander hrabia Piniński.

Zalecamy każdemu z naszych czytelników zarządać od **M. FREILICHA we Lwowie, ulica Grodecka L. 35,** jego nowo wydanego dzieła pod tytułem:

Przepuklina i skutki nowowynaiezionych bandaży przez M. Freilicha, Lwów, ulica Grodecka 35,

które to dziełko na żądanie franko każden otrzymać może. — **Każdy chory musi bezwarunkowo zjawić się osobiście w Zakładzie Freilicha celem zbadania, gdzie musi też pozostać przez kilka dni.**